



ROK LIX

Nr 46

Kobieta

TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIEK

WARSZAWA, DNIA 13 LISTOPADA 1926 ROKU

TREŚĆ NUMERU: Rozbudowa miast — *a. n.* Przed decyzją — *H. C.* Nieposzanowanie książki — *C. Walewska*. Praca domowa ucznia (dokończenie) — *T. Męczkowska*. Wiersz: Październik — *Lucjan André*. Spotkanie w restauracji (nowela) — *J. Stessel*. Jeden dzień na Maderze (kartka z higieny miłości) *c. d.* — *P. Mantegazza* — autor, przekł. *T. Jakubowicza*. Garść wspomnień z r. 1863 — *Izabela z Sucheckich Kuncewiczowa*. Największa tragiczka włoska — *Eleonora Duse* — *Stan. Słar*. Odkarżanie lekarzy — *Jota*. Kobieta w świecie i w domu — *Z. B.* Z teatrów — *Z. P.* Książki nadesłane do redakcji. Dział praktyczny: Mody i roboty. Podróżna teczka do pisania. Żakieciki i kamizelki — *Well*. Polska współczesna. O wnętrzach mieszkaniowych (*c. d.*) — *Zygmunt Knothe*. Elektryfikacja gospodarstwa domowego — *Zofja Bogórska*. W sprawie gospodarczego wykształcenia kobiet — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Z moich wędrówek po Warszawie — *Well*. Korespondencje działu praktycznego. Opis sukien i robót. Dodatek powieściowy: „Trzy Kobiety annamickie” — *C. Chivas-Bazan* (tłum. *Dr. M. Kastarska*). Arkusz wzorów.

ROZBUDOWA MIAST

KONGRES W WIEDNIU



W połowie września obradował w Wiedniu Międzynarodowy kongres rozbudowy miast. Brało w nim udział z górą tysiąc osób, — obok fachowców: architektów, inżynierów, przedsiębiorców budowlanych i t. p. ze wszystkich krańców ziem, higieniści, politycy społeczni, apostołowie miast-ogrodów. Przedmiotem zainteresowania tej gromady ludzi była nie dochodowość domów i nawet nie piękno i wspaniały wygląd ulic i gmachów, lecz racjonalne ujęcie rozbudowy mieszkań i miast ku pożytkowi i zdrowotności ich mieszkańców.

Dwa pierwsze posiedzenia kongresu poświęcono sprawie zdobywania placów pod budowę. Wiadomo, że sprawa ta leży u podstaw polityki budowlanej. Przeciwstawiają się tu potrzeby ogółu mieszkańców, dążących do maximum przestrzeni i światła, interesom właścicieli placów i domów. Ci, pragnąc wykorzystać każdą piędź ziemi, wznoszą wysokie koszarowe kamienice z maleńkimi podwórczkami, zabudowanymi ze wszech stron.

W mieszkaniach na niższych piętrach tych domów musi panować wieczny półmrok i wilgoć. Stąd też od pięćdziesięciu lat samorządy miejskie w interesie ogółu wprowadzają ograniczenia do prywatnego prawa rozporządzania własnością nieruchomością w obrębie miasta. Ograniczenia te polegają na ustaleniu pewnego maximum dla wysokości wznoszonych bu-

dowli, określeniu minimum szerokości ulic i powierzchni podwórz, na zakazach wznoszenia budynków w nieprzerwanym skupieniu, na tworzeniu wewnątrz miasta strefy, w której nie wolno prowadzić fabryk i wogóle procederów, zatruwających sąsiadom spokój, powietrze, wodę i t. p. Wszystkie te ograniczenia są jednak niewystarczające. Gminy miejskie dbały o warunki mieszkaniowe swej ludności dążą oddawna do możliwości rozporządzania zupełnie swobodnie większymi przestrzeniami, co pozwala im nie tylko na przeprowadzanie ulic i placów zgodnie z wymaganiami higieny i estetyki, lecz również na skuteczną walkę ze spekulacją placami, uprawianą zwłaszcza w okresie rozwoju miasta.

Następne posiedzenia kongresu zaprzętnęła dyskusja nad problemem: wielkie czy małe domy. Do niedawna jeszcze na kontynencie Europy dom w mieście przeznaczony na mieszkanie dla jednej rodziny stanowił wyjątek. Natomiast w krajach anglosaskich — w Wielkiej Brytanji i Ameryce — kamienice typu koszarowego istniały i istnieją tylko dla najuboższego proletariatu. Lepszy bowiem robotnik również unika owych osławionych slums odpowiadających swym wyglądem zewnętrznym szeregom warszawskich „kamienic” na Wspólnej lub Hożej i przekłada nad nie dalej od środka miasta położone domki-osobniaki, obejmujące 3—4 pokoiów z przeznaczeniem dla jednej rodziny. Ale wciąż rosnąca hałaśliwość, kurz i dym nowoczesnych miast Europy zachodniej i środkowej

musiały i w ich mieszkańcach wzbudzić tęsknotę za wypoczynkiem w domku oddzielnym, zdala od gwaru i brudu dzielnicy handlowej. Przy wielkich miastach powstały przedmieścia-ogrody; nowe uprzemysławiające się miasta budowały się odrazu jako miasta-ogrody. Idąc po tej linii, najmłodsza generacja polityków mieszkaniowych rzuciła hasło wyniesienia mieszkańców miasta na wieś, do paru poprzedzielanych dość znacznymi odległościami domków jednorodzinnych, wśród łąk i ogrodów, okalających pierścieniem właściwe miasto przemysłowo-handlowe. Najnowsze zaś zamierzenia planują na zasadzie racjonalnej, wciągając w orbitę miasta przyszłości przestrzenie rolne i leśne. Przy takich tendencjach współczesnych kongres wiedeński wypowiedział się oczywiście za typem domu jednorodzinnego.

Dyskusja na powyższy temat obracała się ustawicznie koło żywego przykładu samego Wiednia, Wiedeń pod rządami socjalistycznej większości w radzie miejskiej stworzył w ciągu ostatnich pięciu lat

dzieło potężne: mimo trudności gospodarczych, wywołanych klęską wojenną, inflacją, a potem ciężkim kryzysem ekonomicznym, Wiedeń zdołał w tym czasie wybudować dwadzieścia pięć tysięcy mieszkań. Z tego 3500 mieści się w domkach nowo powstałego przedmieścia-ogrodu, pozostałe jednak w wielkich kamienicach, z których niektóre sięgają aż siedmiu pięter.

Kongres nie potępił takiego postępowania wiedeńskiej rady miejskiej, a kierował się przytem nie samą kurtuazją względem gospodarza. Istotnie dzieło, jakiego dokonał Wiedeń w zakresie budowy tak znacznej liczby mieszkań przy niesłychanie ciężkich warunkach finansowych i gospodarczych Austrii, musi wywoływać bezwzględny podziw i szacunek, a skala wymagań musi tu być dostosowana do okoliczności. W zasadzie atoli wypowiedziano się przeciw domom typu koszarowego i mieszkaniom wynajmowanym, a za domkami z ogrodem, stanowiącymi własność lokatora, spółdzielni lub gminy.

PRZED DECYZJĄ



ażdy niemal człowiek przeżywa w splocie wydarzeń osobistych dwa decydujące momenty: wybór zawodu i małżeństwo. Są to decyzje o bardzo rozległym polu konsekwencji i bardzo dużej doniosłości. A mimo to przystępuje się do nich zazwyczaj dosyć lekkomyślnie i bez głębszego zanalizowania siebie.

Mówmy najpierw o wyborze zawodu. Co tu wpływa na decyzję? Doprawdy — najczęściej t. zw. przypadek, jakiś zbieg okoliczności, jakiś względ drugorzędny, nierozumowany, ani przez kandydata do danego zawodu, ani przez jego rodziców, czy opiekunów. Czasami jakiś pozór upodobania, czy powołania, czasem ambicja rodzicielska, albo ambicja wstępującej w życie jednostki, najczęściej w dobie powojennej zwłaszcza, względy t. zw. praktyczne, przewidywanie najkorzystniejszej kariery, największych dochodów, możliwie najszybszego zarobkowania! Tak dzieje się wśród inteligencji, tak w sferach pracowników fizycznych.

Ludzie poprostu nie zdają sobie sprawy z faktu, że pomyłka w wyborze zawodu równoznaczną bywa ze zmarnowaniem życia.

Na skutek tych lekkomyślnych wyborów, większość młodzieży uniwersyteckiej, po roku, czy dwóch latach studjów, przerzuca się na inny fakultet, i czasem znów na inny, i z politechniki do uniwersytetu, lub naodwrot. Ale to są jeszcze pomyłki, stosunkowo drobne, to są błędy do naprawienia. Gorzej jest, gdy złudzenie trwa dłużej, gdy człowiek, dopiero po latach pracy w obranej dziedzinie, zorientuje się, że właściwe powołanie swoje pominął, że wszedł na drogę, nieodpowiadającą jego talentom i jego istotnemu upodobaniu. Znałam np. genialnego poprostu, nauczyciela, który jako zawód obrał sobie rolnictwo i życie całe szarpał się w nieodpowiednim dla siebie splocie zatrudnień, obowiązków, kłopotów, zniechęcając się coraz bardziej, marnując bardzo niepospolite zdolności, aż ostatecznie zmarnował i swój warsztat

rolniczy i pod koniec życia do zupełnie innego zawodu się przerzucił.

I dziś jeszcze bywa tak, że rodzice decydują o wyborze zawodu swoich dzieci, ale nie na podstawie uważnych obserwacji ich psychiki i fizycznego stanu; ale wprost kierując się najmizerniejszego gatunku wyrachowaniem, płynącym nierzadko z pobudek egoistycznych. Przymusza się np. dzieci niezdolne anormalne nawet do zdobywania matury i wyższego wykształcenia, podczas, gdy lekkie zajęcie fizyczne dałoby im daleko wyższy stopień zadowolenia i daleko większe prawdopodobieństwo wygranej w zapasach życiowych. Bywa, że naturę narwskroś artystyczną, zaprzęga się do handlu, albo naodwrot wmawia się artyzmem w zwykłego zjadacza chleba i t. d.

Stąd wynika, że ludzie swoich zajęć nie lubią, ba, nawet nienawidzą je. Praca nieumiłowana jest im istotnie przekleństwem. Spełniają ją źle, szukając w każdej chwili sposobu wyłamania się z nieznośnego jarzma. Człowiekowi takiemu całe życie staje się ciężarem, wszystko usposabia go pesymistycznie i tak tworzą się legjony całe niezadowolonych z życia, pełnych zazdrości i goryczy, kwaśnych ludzi.

Jeszcze gorzej jest z małżeństwem, a zwłaszcza z małżeństwem dzisiejszym.

Zawiera je się w atmosferze różowej mgiełki zmysłowego podniecenia, bardzo rzadko w atmosferze wielkiej miłości. Ale i ta lekka mgiełka zasłania oczy na rzeczywistość, nie dopuszcza refleksji i analiz warunków, w jakich następuje związenie, zasadniczo na całe życie, dwu organizmów fizycznych i psychicznych, dwu indywidualności, mających dać życie nowemu pokoleniu.

Akt niezmiernej doniosłości, z punktu widzenia narodu, państwa, rasy, rozważany jest conajwyżej z punktu widzenia osobistego szczęścia, jeśli wogóle jest rozważany, jeśli go się nie traktuje poprostu jako epizod. A małżeństwo, nawet w dzisiejszych czasach, rzadko kiedy bywa epizodem, niepociągającym poważniejszych następstw.

Nierozerwalność prawna związku małżeńskiego istnieje dotąd, a choć się ją najrozmaitszymi wykrętami podchodzi i rozrywa, często bardzo, lekkomyślnie zadzierżgniętych węzłów ostatecznie i bezwzględnie zerwać nie można.

Ale choćby nawet nie istniała, to małżeństwo, które nie jest tylko umową prawną, ale psychofizycznym złączeniem dwu indywidualności, pozostawia konsekwencje w postaci dzieci, dla których zerwane małżeństwo jest zawsze krzywdą, a gdy nawet niema dzieci, pozostawia często następstwa w postaci nieuleczalnych chorób fizycznych i psychicznych.

Z tych wszystkich względów małżeństwa traktować nie można, jako sprawy czysto indywidualnej. Jest to sprawa obchodząca w najwyższym stopniu społeczeństwo i państwo.

Spółeczeństwo składa się z rodzin, porównywalnych tak często do komórek organizmu.

I tak jest w istocie. Zdrowie społeczeństwa zależy w dużym stopniu od zdrowego i pomyślnego rozwoju rodziny, potęga i moc państwa od zdrowego i normalnego rozwoju młodego pokolenia.

Spółeczeństwo i państwo mają więc prawo i obowiązek czuwania nad temi sprawami i regulowania ich w myśl swoich istotnych interesów. Na podstawie powyższych zasad zawiązane Towarzystwo Eugeniczne walczy od lat kilku z obojętnością ogółu i niezrozumieniem swoich dążeń. Ale powoli złości skałę.

Czy wiecie czytelniczki, że w Warszawie, przy ul. Żórawiej 28 istnieje Poradnia Towarzystwa Eugenicznego, otwarta od 9 rano do 9 wieczorem, w której udziela się porad w sprawie wyboru zawodu i porad przedślubnych.

Napewno nie wiecie o tem.

Poradnia jest mało uczęszczana, pomimo, że porad udzielają tam pierwszorzędné powagi lekarskie.

Ludzie trzymają się od niej zdala, gdyż wydaje im się rzeczą śmieszną i dziwną wtajemniczanie ludzi obcych w sprawy tak osobiste i intymne.

Któż jednak w sprawach tych może być właściwszym doradcą, jak lekarz i psycholog w jednej osobie?

Należy tylko przewyciężyć uprzedzenie; należy być człowiekiem naprawdę nowożytnym, a sprawa nie okaże się ani śmieszną, ani niewłaściwą.

I dodawać niepotrzeba, że stroną najbardziej zainteresowaną w istnieniu takiej poradni jest kobieta.

Poważnie myśląca kobieta współczesna wie, że celem małżeństwa jest dla niej macierzyństwo. Obłudne i właśnie śmieszne pomijanie tego „szczegółu“ w projektach przedślubnych dawno już wyszło z mody. Trzeba też stwierdzić, że w kobiecie polskiej istnieje potężna tęsknota za macierzyństwem. Oczywiście nie mówię o tych, które unikają macierzyństwa, dla których celem życia jest użycie. Nie mówię, bo o nich niema tu co mówić. Spory zastęp takich kobiet w Pol-

sce powojennej nie wpływa na zmianę zasadniczego typu kobiety polskiej.

Otóż trzeba, aby tęsknota kobiety polskiej za macierzyństwem znalazła szczęśliwą realizację. Młoda dziewczyna, czy kobieta tęskniąca za dzieckiem widzi je w marzeniu piękne, zdrowe, zdolne, bohaterskie.

A rzeczywistość?...

Rzeczywistość małżeńska rzuca często ją, zdrową fizycznie i czystą duchowo w ramiona mężczyzny zdeprawowanego i chorego, a w rezultacie staje się ona matką dzieci rachitycznych, zjedzonych przez skrofuły lub gruźlicą, zdegenerowanych i tępych, niedorozwiniętych, psychopatycznych i t. d. i t. d.

I to właśnie bywa często przyczyną rozwodów, to bywa przyczyną, że miłość zmienia się w nienawiść i wzdargę. A czasem kobieta wcale nie zostaje matką.

To też porada przedślubna jest prosto rzeczą konieczną; poddać się jej powinny obie strony. Nie wolno tu lekceważyć, ani usposobienia gruźliczego, ani obciążenia dziedzicznego, ani też ufać pozorom zdrowia. Niewątpliwie przyjdzie czas, gdy porady przedślubne staną się codziennem normalnem zjawiskiem. Dziś nieraz jeszcze trudno jest mówić o tem przed ślubem. W takim wypadku kwestję podjąć powinni rodzice, opiekunowie, przyjaciele. Obawiamy się wejść do mieszkania, gdzie panuje tyfus lub szkarlatyna, a nie obawiamy się dla młodej dziewczyny chorób sto razy gorszych i zostawiających po sobie fatalne dziedzictwo do czwartego pokolenia, chorób powodujących zwyrodnienie całej rasy ludzkiej!...

Wracając do naszej Poradni, oazy na pustyni obojętności i zaniedbania, spieszymy poinformować, że porad paniom udzielają tam dr. Bisschofsverderowa, dr. Szczodrowska i dr. Rzeczycka.

Porady te obejmują nietylko kwestje przedślubne, ale i stan ciąży, macierzyństwa, kwestje pielęgnowania niemowlęcia, opieki nad dzieckiem w wieku przedszkolnym. Porad w sprawach zawodowych udzielają dr. Dobrzyński, dr. Szokalski, dr. Kopczyński, dr. Miklaszewski, dr. Jaroszyński (badanie uzdolnień) i t. d. Udziela się tu również porad w chorobach wewnętrznych i wenerycznych, oraz w sprawach sportowych.

W chorobach dzieci zwrócić się można do prof. Michałowicza. Tu także otrzymuje się porady w sprawie leczenia alkoholizmu, morfinizmu, kokainizmu, oraz zatruc zawodowych.

Tu wreszcie jest na miejscu i porada prawna. Radzimy zatem zwłaszcza przed decyzją... udać się na ulicę Żórawią. (Od 1 listopada r. b. wprowadzone zostały stałe godziny porad bezpłatnych.)

Nietylko bowiem względy osobiste, ale i obowiązek obywatelski nakazuje nam dążyć do wytworzenia w Polsce pokolenia ludzi zdrowych, silnych, pięknych, zdolnych, zadowolonych z życia, gotowych do poświęceń, odważnych i zdecydowanych, ludzi twórczych i naprzód pędzących ludzkość. H. C

NIEPOSZANOWANIE KSIĄŻKI

WYPOŻYCZALNIE PODRĘCZNIKÓW JAKO CZYNNIK WYCHOWAWCZY

Ktoby śmiało pożyczyć suknię, marynarkę, kape-lusz, piękny obraz i nie oddać?! Albo zwrócić w stanie już nie do użycia—porwane, wyplamione, zmięte?

Człowiek bez honoru, z którym zrywa się stosunki.

Co innego książka. Tu kończą się społeczno-towarzyskie kodeksy. Komu leży na sercu zwrot jakie-

goś tam tomu Struga, Sienkiewicza, Żeromskiego? Albo się go zgubi, albo—bez zapytania właściciela—pchnie dalej. Przygodny odbiorca ciśnie w kąć cudzą książkę, zostawi w sklepie, w tramwaju lub wspania-łomyślnie ofiaruje ją, jako fant na rzecz dobroczynnej loterii. Mniejsza z tem, czy to jest biały kruk wydawniczy, albo pamiątka rodzinna.



Prawego swego właściciela nie ujrzy już nigdy.

W płatnych czytelniach książka musi być zwrócona pod grozą utraty zastawu. Ależ, Boże miłosierny, która z nich nie jest jak ubogi pielgrzym, co nie zdążył strząsnąć pyłu z sandałów po długiej wędrówce? Zakurzona, wybrudzona, z osłemi uszami na rogach i gryzmołami na środku. Co począć? Skazywać abonentów na karę? Zatrzymywać zastaw? Odeszłoby precz $\frac{9}{10}$. Więc niech wędruje z rąk do rąk taki poturczeni-c-inwalida, póki go nie wysmolą do reszty.

Mało się u nas czyta wogóle. Ale już... jeżeli... to z pasją uwieczniania sądów swoich na marginesie, lub nawet w tekście. Zebyż przynajmniej uwagi mędrców... Ale najczęściej trzaśnięcie biczu fernalskiego po koronkach i welinie najsubtelniejszych przemyśleń, po włókienkach żywych uczuć, zaklętych w martwe czcionki.

Wpadnie w ręce domorosłego Praksytelesa czy Matejki, zaroją się okładki wyciętymi kozikiem figurynkami wypełnią marginesy i tekst kicze ołówkiem, atramentem, kredką.

Gdzie znajdzie się niezdekompletowana biblioteka prywatna? Słowacki bez jednego tomu, bo przyszła kochana siostrzenica, której w szkole dramatycznej zadano wstęp z Balladyny. Jakżeż nie pożyczyć? Tylko na jeden dzień. Przepisze i odda. Bierze książkę. Ścisła ją w palcach mocno. Wtem spotyka przyjaciółkę. Wita się. Wskakują razem do tramwaju. Przepadł tomik. Gdzie. Na ulicy — przy powitaniu, czy w wozie natłoczonym? Próżne dochodzenie. Patrzy już odtąd jednym ślepem okiem Słowacki na, ciotkę ukochanej siostrzenicy, na jakieś kilimy, obrazy i gabloty wprost półek bibliotecznych.

* * *

Czy tylko Polska nie szanuje książki?

W jakimś niedzielnym dodatku do Times'a grzmia skarga bibliotekarzy. Jeden z nich woła, że raczej wrzuciliby w morze całą swoją, zamkniętą już na szczęście czytelnię, aniżeli otworzył ją na nowo! Setki abonentów, nie mając ochoty dźwigać ciężkich tomów, wydzierają z nich najspokojniej kilka, kilkanaście, kilkadziesiąt kartek, kładą do brudnych kieszeni, noszą się z niemi po kawiarniach, skwerach, parkach, aż wreszcie dostatecznie umorusane wsuwają w książkę z powrotem, zwracając ją w chwili największego tłoku, kiedy odbiorca nie ma czasu na skontrolowanie wnętrza egzemplarza. Inne grupy czytelników nie uważają za konieczne zwrotu książek. Po przeczytaniu rzucają je do stawu, rzeki, jeziora, zostawiają w lesie, gubią po piwnicach w czasie wiosennych porządków. W stu książkach znalazł żaloszny piewca doli bibliotekarza pięćset szpilek od włosów, którymi poprzekłuwane były kartki. (Działo się to oczywiście przed uczesaniem á la garçonne). Najwybitniejsi ludzie, świeczniki społeczeństwa, obchodzą się z książką, jak dziecko z wypchaną trocinami lalką. W antykwarniach londyńskich sprzedawane są do dnia dzisiejszego na licytacjach, bardzo już zniszczone dzieła z uwagami i wykrzyknikami Carlyle'a: „Ba!.., Ah, co ty sobie myślisz, durniu, kpie, głupczel!.. Poeta Coleridge, długoletni abonent słynnej czytelni Karola Lamba, wyjeżdżając kiedyś na czas dłuższy, dopisał na odsyłanej książce: „Przecież nie weźmiecie mi za złe, że podniszczyłem dostatecznie ten szpargał.

Zwracam wam zresztą tę relikwię“, Shelley lubił szkicować na marginesach drzewa. Leslie Stephens, krytyk — filozof, wypełniał je rysunkami psów, małą, kotów, myszy, jeleni. Ruskin bez skrupułu wycinał rysunki z rękopisów, które mu nadsyłano i obdarzał niemi przyjaciół. Skóra dużego wołu nie starczyłaby na spisanie wybrków tego wandalizmu.

Największym wrogiem książki w Angli był James Granger. Od niego to datuje się t. zw. „grendżeryzm“, który, niestety, trwa po dzień dzisiejszy. Uczony ten, wydawszy w 1769 r. swoją Biograficzną Historję Anglii, postanowił pchnąć naprzód silnym rzutem dzieje portretu. W tym celu zaopatrzył drugie wydanie swego dzieła w puste białe kartki, prosząc, aby naklejono na nich drzeworyty, ilustracje, szkice, dotyczące sprawy. Tego tylko trzeba było czytelnikom różnych bibliotek — prywatnych i publicznych. Rozpoczęło się polowanie na reprodukcje portretów. Z książek pozostawały łachmany, a niepodobna było wysledzić winowajców.

Znane jest wśród bibliotekarzy angielskich wydarzenie z p. H., pewną wybitną jednostką świata londyńskiego. Wypożyczywszy którąś z ciekawszych powieści Stevensona, wydarł z niej początkową i końcową kartkę. Przy zwrocie zaś oznajmił z całym spokojem, że — czytając książkę w drodze, nie mógł oprzeć się pokusie złożenia hołdu autorowi. A ponieważ nie miał papieru przy sobie, wydarł te dwie prawie puste stronicę, zapisał je i wysłał. Tego mu chyba nikt za złe nie weźmie.

* * *

Niby lżej nam na sercu, że nietylko u nas, ale w kraju odwiecznej kultury dzieją się rzeczy, urągające podstawowym zasadom ładu i etyki społecznej. Ale czy to ma nas rozgrzeszyć?..

Ostatnimi czasy powstały w kilku punktach miasta wypożyczalnie podręczników w szkołach dla uczącej się młodzieży. Chłopiec czy dziewczynka przynosi książkę już niepotrzebną i dostaje wzamian egzemplarz, zalecony w programie danej klasy. Zwróciwszy go, może otrzymać inny i tak, aż do końca nauki szkolnej.

Nie trzeba podkreślać doniosłości tej organizacji. Po za stroną niezbędnej pomocy materialnej stanowi ona potężny czynnik wychowawczy. Uczeń, obowiązany oddać podręcznik w terminie wskazanym, przywyka do punktualności. Przytem — nie dostanie książki zamiennej, jeżeli egzemplarz, który zwraca, jest wybrudzony. Przyucza się więc do czystości rąk i ciągłej uwagi, aby nie położyć książki na zakurzonym stole, ciągłej troski, aby jej nie zgubić, nie uszkodzić. Kroplą w morzu jest wszakże tych parę wypożyczalni, które powstały do tej pory. Z początkiem bieżącego roku szkolnego miało przystąpić do urządzenia ich miasto. Przeszkodziła temu epidemja szkarlatyny. Wymiana książek i przetargi odbywają się samorzutnie, na którymś z placów miejskich, dokąd masami napływa młodzież męska i żeńska. Niebezpieczeństwo takiej tranzakcji mówi samo za siebie. Książki niekontrolowane przenoszą zarazki chorobotwórcze. Ale — kto myśli o tem, gdy nagli konieczność. Nie pomogą zakazy i naganka policji. Pożądana jest akcja społeczna w jaknajszerszym zakresie, póki — jak powiedziano — nie ujmie sprawy w swoje ręce miasto.

C. Walewska.



TEODORA MĘCZKOWSKA

PRACA DOMOWA UCZNIĄ

Z lekcjami dodatkowymi trzeba walczyć, starając się o to, aby rodzice zrozumieli krzywdę, jaką wyrządzają i nie obarczali niemi dzieci bez koniecznej potrzeby. Dziecko nie może pięć godzin siedzieć w szkole, a potem jeszcze dwie godziny w domu przy lekcji, a następnie przystąpić do odrobienia lekcji na dzień następny, praca jego przez tyle godzin nie może być intensywna, to też owe lekcje dodatkowe znakomicie zmniejszają sprawność umysłową dziecka i powodują nieuniknione przeciążenie.

Inaczej rzecz się ma z lekcjami dla celów zarobkowych: tu dobra wola rodziców i ich należyte rozumienie sprawy nie wiele pomoże, wpływ bowiem decydujący wywierają warunki. Mojem zdaniem jednak zło, płynące z dawania korepetycji, jest o wiele mniejsze niż zło, które pociągają za sobą lekcje dodatkowe. Bo taki uczeń czy uczenica, którzy udzielają korepetycji, zaprawiają się, niewątpliwie, do samodzielnej pracy, wyrabiają w sobie umiejętność samodzielnego myślenia, jasnego formułowania myśli, nadto z konieczności rzeczy przerabiają materiał naukowy, będący tą czy inną częścią programu szkolnego, przez co sami utrwalają wiadomości potrzebne. Znam wypadki, kiedy dawanie korepetycji przyniosło duży pożytek korepetytorowi, stało się naprawdę początkiem jego samodzielnego umysłowego życia. Każdy z nas ma, prawdopodobnie, w swem otoczeniu ludzi, którzy w klasach wyższych utrzymywali się z dawania korepetycji i którym to bynajmniej nie przeszkodziło do ukończenia szkoły i stania się dzielnymi i pożytecznymi ludźmi. Stwierdzając ten fakt, nie chcę bynajmniej propagować poglądu, że praca zarobkowa uczącej się młodzieży jest objawem normalnym lub nawet pożądanym, przeciwnie, praca tej kategorii w społeczeństwach, rozwijających się normalnie, jest powinna być czemś zupełnie wyjątkowym.

U nas należy zapatrywać się na nią jako na objaw przejściowy, a czynniki miarodajne i całe społeczeństwo musi usilnie starać się o to, by młodzież mogła przez cały czas życia szkolnego pracować tylko dla siebie i dla szkoły.

Zrozumienie tej sprawy jest wśród pedagogów zupełne i tak mocne, że staje się już źródłem troski i pracy w tym kierunku.

Przy każdej prawie szkole istnieją już dziś Koła opieki rodzicielskiej i Koła pomocy szkolnej, których zadaniem jest dopomaganie młodzieży w jej troskach materialnych. Nie będę tu mówiła o systematycznym dożywianiu dzieci w szkole, pominię doskonałą nieraz organizację kolonij leczniczych lub wypoczynkowych dla młodzieży szkolnej, chociaż sprawy te pośrednio wiążą się z tematem przezemnie poruszonym, zatrzymam się jedynie na świetlicach, które istnieją w niektórych szkołach, a mają za zadanie ułatwienie młodzieży przygotowywania lekcji na dzień następny. — Powstanie przy szkołach świetlic zostało wywołane głodem mieszkaniowym. W kilku szkołach stwierdzono, że młodzież w domu pracować nie może wobec braku miejsca do pracy, oświetlenia, wobec natłoczenia w jednym pokoju kilku lub nawet kilkunastu osób. Chcąc temu zaradzić, dyrekcje niektórych szkół przeznaczają w godzinach popołudniowych w lokalu szkolnym jeden lub dwa pokoje, w

których młodzież dla odrobienia lekcji na dzień następny. Powstanie świetlicy nie pociąga za sobą zbyt dużych kosztów, prowadzą się one wyłącznie do opłaty za oświetlenie i do wynagrodzenia wychowawcy czy wychowawczynie, która bezwzględnie musi być w szkole przez cały czas pobytu w niej młodzieży. Wychowawczynie czy wychowawca czuwa, by w sali klasowej panowała cisza, ład, by młodzież mogła spokojnie pracować.

Nie ulega wątpliwości, że w naszych warunkach świetlice mogą oddać nieocenione usługi i że należy zabiegać o to, aby powstawały wszędzie, gdzie warunki mieszkaniowe nie dają gwarancji, że praca dzieci w domu będzie mogła odbywać się normalnie.

Szkola, interesująca się swymi uczniami, musi na tę stronę ich życia zwrócić należytą uwagę i zaradzić złemu w ten sposób, by uczniowi zapewnić nie tylko korzystne warunki pracy w samej szkole, ale dać możliwość symiennego wypełnienia wszelkich zobowiązań, zaciągniętych wobec szkoły i płynących z faktu uczęszczania do niej. Istnienie świetlic może być pożądanym i z innego powodu. W tej chwili sprawa przeciążenia młodzieży pracą nie schodzi z porządku dziennego. — Rozstrzygnięcie tej sprawy jest trudne głównie z powodu braku konkretnych danych. Te dane możnaby właśnie osiągnąć, gdyby się prowadziło planową, systematyczną kontrolę nad pracą uczniów w świetlicy. Jak tę kontrolę zorganizować co do istoty rzeczy i w jakie ramy ją ująć pod względem formy, nad tem należałoby się dobrze zastanowić, zagadnienie bowiem jest z natury swej złożone i musi być dość wszechstronnie ujęte, jeżeli zebrany materiał ma mieć istotne znaczenie i rzucić pewne światło nie tylko na sam fakt przeciążenia młodzieży pracą, ale w pewnej mierze i na wartość stosowanych metod oraz przydatności istniejących podręczników i książek pomocniczych.

Dziś, kiedy ogólnego planu tej pracy niema, kiedy każdy wychowawca—opiekun świetlicy—działa na swoją rękę i inaczej się do sprawy ustosunkowuje, materiał zebrany tą drogą nie jest jednak bez wartości. Osoba bezstronna, rozumna, która jest z młodzieżą przez cały czas odrabiania lekcji na dzień następny, która widzi, kiedy uczeń pracę zaczyna, kiedy ją kończy, która nadto o intensywności tej pracy może nabrać pojęcia, ma możliwość urobienia poglądu czy i k t ó r z y nauczyciele zadają więcej niż należy, powodując przez to przeciążenie pracą domową. Niewątpliwie, materiały zebrane tą drogą chociażby w kilku poważniejszych szkołach, mogłyby być cennym nabytkiem i dobrą wskazówką dla Rad Pedagogicznych, Dyrekcji szkół, Kuratorjum i Ministerstwa. — Te same materiały mogłyby być punktem wyjścia dla teoretycznego rozważenia zagadnienia i opracowania wytycznych wskazań dla pracy w tej dziedzinie.

Nie ulega wątpliwości, że przedewszystkiem tą drogą dałoby się ustalić racjonalny pogląd na przeciążenie, a może i zarzucić most zgody między dwiema skrajnymi opiniami, z których jedna biada nad tem, że w dzisiejszych szkołach młodzież pracuje zbyt mało, druga, przeciwnie, łamie ręce nad ogromem pracy, do której wykonania zmuszamy młodzież w szkole.

KONIEC.

LUCJAN ANDRÉ

PAŹDZIERNIK

O, październiku! Wracasz, przyjacielu,
Po letnich uciech olśnieniu znikomem,
Daleko, blisko, u dróg naszych celu,
Majacząc złotym wytchnienia fantomem.

W łagodnym słońcu zacisza jesieni,
W żółknących liści smętnym kolorycie,
Idziemy z tobą niemi, uciszeni,
Spojrzeć na nasze dokonane życie.

Słoneczną ziemię i modre niebios
Myśl w tak spokojnem skupieniu przemierza,
Że ześlizguje się po sercu rosa
Łez gorzkich, jakby po zbroi rycerza.

Do szat pielgrzymich nie przywarły piaski
Lotne — i szary pył dalekiej drogi:
Wchodzimy — w słońca przyodziani blaski —
Między boginie ciszy i snów bogi.

Wita nas błoga radość wyzwolenia.
Niema już pragnień, i nic już nie boli...
Wszystko, co było, słońce opromienia
W milczeniu, jakby szmat zoranej roli.

Wita nas zdarzeń treść: twarde wyroki,
Niepobłażliwe, groźne ludzkie dzieje,
Zakłęte dzisiaj w ten spokój głęboki,
Jakim pogodna jesień promienieje.

Z drzewa na ziemię, jak liść złoto-rudy,
Padamy w żrałych owoców ulewie.
Niech nie dziękuje nikt za nasze trudy.
Dość już komedji. Niech nikt o nas nie wie.

Ku hostji słońca w zaciszu jesieni
J w zeschniętych liści szeleszczącym chrząście
Idziemy niemi, do dna uciszeni,
Po wszystko, wszystko — tylko nie po szczęście

A w zadumaniu gry światła i cieni,
W spokojnym ziemi i niebios współbycie,
Uśmiechem nikłych się rozblasków mieni,
I oichy triumf święci nasze życie.



J. S I E S S E L

SPOTKANIE W RESTAURACJI

(N o w e l a)



ło jeszcze mało osób. Muzyka grała niedbale. W wąskim przedpokoju, poprzedzającym salę jadalną, kelnerzy oczekiwali — oparci o ścianę.

Z głowami ogolonemi, z oczami o wyrazie nieokreślonym, to piętno tęsknoty, łagodności i pewnej chytrności, po której poznać można rosyjskie twarze. Niektórzy mieli blizny, inni posiadali ręce delikatne, niezniszczone jeszcze przez pracę ciężką.

Od czasu do czasu, jeden z nich, wezwany przez gościa, odwracał się od czarnej grupy i szedł ku stolikowi — krokiem nonszalanckim. Pochylony nad obiadającym, usiłował bezskutecznie przybrać wyraz uprzejmo nadszkakujący — zwykłego kelnera.

W tonie głosu, w trzymaniu głowy, był rodzaj nieokreślonej swobody i godności wrodzonej. Był uprzejmy, lecz bez unizności.

Ci co wydali mu rozkazy, zdawali się to odczuwać doskonale i niemal byli skrępowani tem, że rozkazywać muszą. Wymiana słów wszystkich, — w samym centrum Paryża, zawiązywała pomiędzy gościem, a kelnerem węzeł przyjaźni, niemal braterski.

Zajmowano jednak stoliki. Nowi goście wciąż napływali przez wąskie schody. Witaił ich u wejścia zarządzający, olbrzymiego wzrostu, dobroduszny, obciśnięty smokiem jak pancerzem.

Sala była oddawna zapełniona, gdy na progu stanął gość nowy. Ci co go nie znali jeszcze, poznali po sposobie w jaki go witał zarządzający, po tym uśmiechu wesołego porozumienia, który rozpromienił twarz jego, że był to bywalec z tych wybranych, co umieją pić i z każdego obiadu potrafią zrobić ucztę. Przeprowadzono go spojrzeniami pełnemi szacunku.

U Rosjan nie istnieje człowiek bardziej popularny i szacunku godny jak ten, który poza barykadą pustych butelek, samą obecnością swoją nadaje ton kolacji, rządzi chórem wesołym lub rozbrzmiewającym — śpiewaków i owładnięty jest demonem orgji, spojony jednocześnie winem, serdecznością, rozpaczą i okrucieństwem.

— Ile nakryć, Sergjuszu Andrejowiczu? spytał zarządzający.

— Trzy, kochany pułkowniku. Dwie damy obiadają ze mną. Zostały na dole w ubieralni. Ja przyszedłem pierwszy aby zobaczyć czy są jeszcze wolne miejsca.

— Och! Sergjuszu Andrejowiczu, wiecie dobrze, że dla was zawsze znajdzie się stół, powiedział olbrzym tonem serdecznego wyrzutu. I to najlepszy.

Zniżając głos dodał:

— Patrzcie, czeka na was, pomimo żeście mnie nie uprzedzili. Z trudem udało mi się go obronić.

Zaprowadzę was.

Przeszli między stolikami, kierując się ku jedynejmu wolnemu. Kartka z nazwiskiem Arkadina leżała na serwecie. Stół zajmował róg sali. Przez półotwarte okno płynęła świeżość czerwcowego wieczoru: Widać było stamtąd doskonale orkiestrę, której dźwięki dolatywały złagodzone, nie mącąc rozmów.

— Tu dobrze wam będzie, Sergjuszu Andrejowiczu, zapewnił zarządzający, pełen troskliwości.

— Anioł z ciebie — mój kochany i jestem ci wdzięczny nieskończenie za twe względy.

Twarz pułkownika, przecięta blizną, przybrała naraz wyraz powagi pełny.

— A teraz, powiedział, chodzi o to — nieprawdaż? — aby wykombinować dobry obiadek.

W słowa swe włożył mimowoli rodzaj nabożeństwa. Składało się na nie: głębokie przecucie, że jedzenie i picie są przyjemnościami niemal obrzędowymi, a także wzruszone wspomnienie, jakie zachował o ucztach swoich, wówczas, gdy dowodził pułkiem jazdy.

To zamiłowanie, któremu sam oddawać się już nie mógł, służyło mu dziś dla innych, godnych tego — wedle jego mniemania. Spytał:

— Czy towarzyski wasze — to francuzki, Sergjuszu Andrejowiczu?

— Nie, kochany pułkowniku, są to dwie przemile śpiewaczki rosyjskie, które wczoraj spotkałem w cygańskim kabarecie w Montmartre. Nie znały jeszcze waszego zakładu i zaprosiłem je tu na dziś wieczór.

— Doskonale. zawołał pułkownik. Będziecie mogli zjeść obiad taki jak w Moskwie. Pozwolicie mi ułożyć menu, nieprawdaż? Najpierw nieco wódki na początek, potem ulubiony wasz szampan.

— Bardzo dobrze, mój przyjacielu, ufam ci w zupełności.

Arkadin pozostawszy sam, oparł łokcie na stole i ukrył podbródek w dłoniach. Lampa, stojąca przy nim na stole i osłonięta różowym abażurem oświecała łagodnie twarz jego. A jednak i to światło przyćmione wydało mu się za jaskrawe widocznie, gdyż odsunął je od siebie.

Uczył to ruchem powolnym, ostrożnym, niemal kocim, harmonizującym z całą jego postacią szczupłą i wysoką, z długimi rękami o paznokciach drapieźnych, z suchymi rysami, zbyt wyrazistymi, z oczami zbyt nieruchomymi i zbyt bladymi.

Oczy te przebiegały salę, zatrzymując się kolejno na wszystkich twarzach z uwagą, którą możnaby nazwać zawodową, podczas gdy lekkie stężenie rysów uwydatniało drobne zmarszczki czoła, o liniach dość szlachetnych.

Był tak pogrążony w swych badaniach, że drgnął, gdy usłyszał głos nad uchem.

— Nie wiele potrzeba panu czasu, abys o nas zapomniał!

Arkadin wstał natychmiast i skłoniwszy się przed dwiema kobietami, które nadeszły — wskazał im miejsca. Jedna z nich, nie pierwszej już młodości, miała cerę o ciepłym, śniadym odcieniu i wspaniałe cygańskie oczy. Druga, jasnowłosa, o wargach bardzo pąsowych, zdawała się dziewczką niewinną i smutną. Powiedziała:

— Bawiłyśmy tak długo na dole, bośmy spotkały znajomych — przyjaciół z Moskwy. — Nieprawdaż, Anno? Cyganka skinęła głową ruchem powolnym i odpowiedziała z nonszalancją:

— Tak, strzelca i szwajcara z kontramarkarni. Wydali tysiące rubli dla nas w Jarze. Byli to przemili chłopcy.

— Nie myślcie o smutnych rzeczach, moje drogie — powiedział Arkadin. Nie lubię tego i tu nie miejsce odpowiednie.

— Ależ to nie są rzeczy smutne, powiedziała Wiera. Dopóki się ma chleb do spożywania, nogi do tańca i głos do śpiewania — dopóty żyć można.

— Doskonale mówisz, moja mała Wieroczko. Powinnaś dodać jeszcze i alkohol do picia.

— Oto właśnie jest! odpowiedziała młoda kobieta. A jej spojrzenie, niewinne błękitne, zalsniło błyskiem pożądliwości.

Dwóch kelnerów rozstawiło na stole niezliczoną ilość talerzyków, puszek, salatek — zawierających konfitury, pomidory, sardele, kawior, wędzone łososie, wszystko to straszliwie pokryte solą i pieprzem. Za kelnerami, wyższy od nich o całą głowę, uśmiechający się ojcowskim uśmiechem, olbrzymi zarządzający niósł flaszkę, pełną przezroczystego płynu.

— Podczas gdy nalewał gościom, Arkadin zawołał.

— Zapominasz o sobie, kochany pułkowniku!

Olbrzym skłonił się na znak podziękui, kazał przynieść kieliszek — i napełniwszy go:

— Za zdrowie pań! powiedział.

Potem jednym haustem wypił ognisty trunek, o smaku polnego żyta. Wszyscy poszli za jego przykładem.

Wiera nachyliła się do ucha Arkidina i szepnęła mu kilka słów. Ten z kolei powiedział cicho zarządzającemu.

— Kochany pułkowniku, chciej rozkazać aby zanieśli czarkę wódki albo szampana — wedle ich wyboru — strzelcowi i szwajcarowi. Niech wypiją za zdrowie tych pań, które kiedyś dobrze znali.

W tej chwili szmer przebiegł po sali.

— Cicho! cicho!

Tęskna melodia płynęła z orkiestry, złożonej tylko z fortepianu, skrzypiec i cymbałów, lecz tak przejmująca, że zdawała się sięgać do najskrytszej głębi smutku ludzkiego. A Rosjanie nawet pijani, słuchają zwykle w skupieniu muzyki, zarówno przez zamilowanie jak przez szacunek dla artystów. Melodia płynęła majestatyczna, prosta i bolesna, ryjąca głęboką bruzdę w duszach, naraz oderwanych od wszystkiego.

Wielu osobom była już znana, lecz za każdym razem wydawała się im nową i świeższą i zadziwiającą.

Gdy skończyła, obie towarzyszkii Arkadina pozostały nieruchome przez kilka sekund, jakby skamieniały pod wpływem zbyt silnego czaru.

Arkadin spoglądał na nie, uśmiechając się dziwnie, zarazem czule i dziko, uśmiech ten odsłaniał zęby gęste, olśniewające, stworzone raczej do gryzienia niż do uśmiechu.

Anna powiedziała z wolna, poprawiając szal na ramionach:

— Melodję tę grał ostatni raz dla mnie wielki Ildenka na Wyspach Newskich.

— Dawno opuściliście Rosję? spytał Arkadin — Postawił pytanie machinalnie, lecz wnet twarz jego przybrała wyraz niezadowolonia z siebie samego, i oczekiwał odpowiedzi ze zdenerwowaniem zbyt widocznym.

— W czasie rewolucji. A pan...

Odpowiedział niechętnie:

— W roku zeszłym.

— Dopiero? zawołała Wiera. Musiał pan dużo przecierpieć

— Tak jak wszyscy.

— A w jaki sposób mógł pan uciec?

— Urządziłem się odpowiednio.

Odpowiedzi jego brzmiały tak sucho, że obie kobiety uczuły dziwny niepokój. Lecz już Arkadin, wznosząc czarę, ozłoconą szampanem, wołał:

— Nie pijemy prawie, prawdziwy to wstyd!

A widząc, że skrzypek sięga po smyczek — dodał:

— Słuchajcie teraz: będą grać „Trójkę“. Grają ją dla mnie i grają dobrze.

Struny zagrzmiały dzikiem weselem. Nic już nie istniało w sali oprócz płomiennej pieśni, orgiastycznego śpiewu w którym melancholija najgłębsza walczyła wciąż z radością najszaleszą. Łkały w niej żal za niemożliwym, wola rozkoszy bezgranicznej, daremna nadzieja znalezienia zapamiętania i oczarowania — na kobiecem sercu.

Arkadin z zaciśniętymi wargami, z oczami bledszymi niż zwykle, cicho uderzał obu dłońmi w takt. Cyganka Anna i jej towarzyszka wolno i miarowo poruszały ramionami, przeniknione aż do głębi upajającą i barbarzyńską muzyką.

Wołanie tej milczącej grupy było tak przemożne, że skrzypek, nie przestając grać, cichymi krokami, zbliżał się ku nim. Stał przed Wierą, a instrument jego zdawał się śpiewać tylko dla niej. A wówczas młoda kobieta nie mogła zapanować nad sobą i najpierw cicho — zaczęła śpiewać. Głos jej wznosił się stopniowo: dołączył się do niego głos cyganki. Skrzypek nie spuszczał z nich oczu. Smyczek jego kierował chórem zaimprovizowanym. Pomiedzy nim a śpiewaczkami zawiązał się fluid, magnetyzm prosty i silny. Połączeni byli rytmem i dźwiękiem, tak intensywnie, że nie sposób było rozpoznać czy kobiety budziły melodię skrzypiec, czy smyczek wyczarowywał pieśń z ich piersi.

Ostatnia nuta zgasła wreszcie na strunach i głosy umilkły. Zerwały się oklaski, a Wiera i Anna, jakby obudzone ze snu, uśmiechnęły się z roztargnieniem.

Na skinienie Arkadina, przyniesiono krzesło dla skrzypka i postawiono przed nim napełnioną czarę. Tymczasem zarządzający podawał róże młodym kobietom. Arkadin zawołał wesoło:

— Jak to szczęśliwie, że sprowadziłem wam sukurs.

Waszego śpiewaka niema.

Pułkownik uśmiechnął się tajemniczo:

— Mamy innego: przybędzie wkrótce.

— Któż to?

— To niespodzianka...

Upływały chwile, to dźwięczące brzękiem kryształów, szmerem rozmów, to wibrujące melodią. Słodkie upojenie ogarniało wszystkich.

Tak było dobrze w tej zamkniętej sali, gdzie wszystko przypominało utraconą ojczyznę, począwszy od twarzy usługujących i smaku potraw aż do pieśni Dalekiem wydawało się jutro, gdzie trzeba będzie, w mieście obojętnem, pod niebem obcem, wrócić do zajęć nowych, bez związku z życiem poprzednim.

Tu nic nie zdawało się przerwanem, łańcuch nocy szczęśliwych nawiązywał się sam i nie trzeba było wielkiego wysiłku aby zapomnieć o wszystkim.

Naraz silne wzruszenie wstrząsnęło obiadującymi. Obok orkiestry stanął człowiek, którego nie widzieli wchodzącego wśród ogólnego ożywienia. — Silnej był budowy — i pomimo siwizny, przypruszającej jego włosy, twarz miał młodą. Lecz w postawie całej w przychyleniu szyi, a zwłaszcza w niezręcznych ruchach rąk, była bezsilność, uderzająca nieprzepracie. Spojrzenie jego tłumaczyło wszystko, spojrzenie nieruchome, matowe, białe spojrzenie ludzi ślepych...

Zdziwienie, litość i bolesna ciekawość stłumiły wszystkie szmery. Wówczas ślepy, jakby czekając na tę ciszę, położył swą rękę lewą na fortepianie.

Cichutko instrumenty zagrały przygrywkę, a on zaczął śpiewać.

Nie miał żadnej rutyny. Sama jego postawa zdradzała niedoświadczenie. Spuszczona głowa, prawe ramię sztywno wyciągnięte wzdłuż ciała — wszyst-

ko to było niezręczne i pozbawione wdzięku. W audytorjum zapanowało narazie bolesne zdumienie.

— Żadna niespodzianka! mruknął Arkadin niezadowolony. Obie jego towarzyski spuszczały głowy, jakby dla ukrycia przykrego wrażenia.

A jednak — w miarę jak rozwijał się śpiew — podnosiły się ich czoła. Wokoło twarze nabierały skupienia. Nawet Arkadin, nie lubiący smutku, chciwie słuchał pieśni ślepca.

Ten nie zmienił ani postawy ani wyrazu. — Lecz głos jego — głuchy i powolny, niemal przykry z początku, — narzucał się stopniowo gwałtownością tłumioną, cierpieniem bezgranicznym, gorączką która wzruszała serca czarem magicznym. Trzymał wciąż głowę spuszczoną, lecz teraz wydawało się, że wsłuchuje się sam w rozpaczłą swą pieśń i że pieśń sama tryska z piersi przepełnionej, która już nie może jej wstrzymać.

Instrumenty umilkły. Od czasu do czasu głęboki akord wstrząsał strunami fortepianu. A głos monotony i zgaszony wydzwaniał słowa, poraz pierwszy rozbrzmiewające w tej sali. Nie opowiadał o radości pijatyki, ani o mękach i rozkoszach kochania, ani o czynach sławnych zbójców stepów. Na nutę szeroką i ponurą, śpiewał o grozie czerwonych więzień, śmiertelnej męce skazańców, o zagaśnięciu wszelkiej nadziei, o czekaniu na kata, w czarną skórę odzianego. Straszliwe wspomnienia budziły się we wszystkich duszach: wspomnienia cel, jęków, gorączkowych nocy, odgłosów salw. Ból ścigał wszystkie twarze. Kobiety czuły, że ściskają się im gardła, a mężczyźni nerwowo mrugali powiekami. Gdy pieśń ucichła, nie buchnęły oklaski. Ciężkie oddechy jedynie mącące ciszę, były hołdem najbardziej patetycznym.

Arkadin, którego ostre i twarde paznokcie wpiły się w obrus, pierwszy ocknął się z tego bolesnego zaklęcia.

— Nadzwyczajny jest, szepnął, lecz poco to wszystko przypominać!

Ale Wiera, której błękitne oczy pokryła łzawa mgła, oburzyła się.

— Czy nie wstyd panu? Pieśń ta jest piękna jak Męka Chrystusowa!

A cyganka, której bronzowa maska nie mogła zdradzać żadnego wzruszenia, dodała głosem twardszym niż zwykle:

— Proszę go zaprosić do naszego stołu, jest zupełnie wyczerpany.

Pomimo panowania nad sobą, Arkadin nie umiał ukryć niespokojnego ruchu.

— Nie, odparł brutalnie, nie chcę!

— W takim razie — odchodzimy! zawołała Wiera — Ale już uśmiech zakwitł na ustach Arkadina, uśmiech, który chciał uczynić uprzejmym, a który pomimo wysiłku, zachował tajone okrucieństwo.

— No, no, nie gniewajcie się, moje koteczki, powiedział, jestem na wasze rozkazy.

Ślepiec, prowadzony przez kelnera, zajął miejsce przy ich stoliku. Lampa, odsunięta przed obiadem przez Arkadina, znalazła się tuż przed twarzą śpiewaka.

Ukazała się ona nabrzmiała, pokryta zmarszczkami przedwczesnymi, nieruchoma jak jego oczy.

Kobiety zdziwiły się na widok dreszczu wstrząsającego Arkadinem.

— To okno, szepnął niezrozumiale.

Lecz gdy chciano je zamknąć, zaprotestował znowu bardzo cicho.

— Zostawcie, możnaby się udusić,

I pokryjomu otarł pot, który mu okrył czoło. Wiera pytała tymczasem ślepego śpiewaka:

— Czyja ta pieśń? Nie znałam jej dotąd.

— Moja, odpowiedział z prostotą, podnosząc kieliszek do ust — ręką niepewną.

— I pan... to wszystko przecierpiał? wyszeptała młoda kobieta.

— Razem z wielu innymi.

Potem, swym głosem powolnym, bez modulacji, zaczął opowiadać o swem uwięzieniu, o bezlitosnych badaniach, prowadzonych przez śledczego, uprzejmego, pełnego wyrafinowania, chytrności i zawziętości demonicznej, o egzekucji swych kolegów, i o tem jak trwoga, cierpienia nadludzkie, maltretowania na zaw sze zgasiły światło jego biednych oczu.

Opowieść jego przerwał Arkadin wołając nagle — głosem histerycznym i ostrym:

— Szampana, kelner! Szampana prędko!..

Na ten niespodziewany wybuch, opowiadający podniósł twarz swą — dotąd spuszczoną, odwrócił ją w stronę Arkadina. Zarówno obie kobiety jak i sam Arkadin doznali wstrząsającego wrażenia, że ślepy spogląda na niego. Zapanowała cisza i trwała kilka minut.

— W jaki sposób pan uciekł? spytała Wiera wreszcie. Ale śpiewak, odsunawszy się nieco z krzesłem, odpowiedział:

— Nudzę was swemi opowiadaniem. A przytem — przeskadam waszemu przyjacielowi mówić.

Arkadin uśmiechnął się uśmiechem wymuszonym.

— Ależ nie chodzi mi o to, mój kochany, odpowiedział.

To co opowiadacie, więcej zajmuje te panie niżli to co ja powiedzieć mogę.

— Jakie to dziwne! szepnął ślepy. Mam wrażenie że my się znamy.

Arkadin niechętnie mówił dalej:

— Jestem pewny że nie. Pamiętam wybornie widziane twarze.

Ślepiec milczał przez kilka chwil, potem zrobił ruch fatalistycznej bierności.

— Sam nie wiem co mi przychodzi do głowy... Czy zechce mi pan ofiarować papierosa?..

Papierośnica Arkadina leżała na stole. Był to wyrób rosyjski z czeczotkowego drzewa, złotymi żyłkami inkrustowana. Leciutkie pęknięcie widniało na rogu. Czy zapomniał że miał ją przed sobą? Dość że zawołał:

— Kelner! pudełko papierosów egipskich!

— Ależ leżą tu przed panem, powiedziała Wiera. I podała papierośnicę ślepcowi. Ten niezręcznie szukał papierosa. Lecz raptem palce jego zaczęły obmacywać papierośnicę, zatrzymały się na pęknięciu... Konwulsyjny skurcz zmącił nieruchomość jego twarzy.

— Moja, szepnął, moja. Nie omyliłem się!

Wstał, potężny, straszny. Arkadin wstał także. Przejmującym szeptem ślepiec powiedział:

— Ten głos... moja papierośnica... Pan jesteś śledczym z Łubianki...

Pomimo, że słowa te wymówione były cicho, dreszcz przeszedł po sali. Wymieniały one moskiewską czerezwyczajkę...

Anna i Wiera instynktownie odsunęły się od Arkadina a wszystkie oczy zwróciły się na niego. Chciał się bronić, lecz spojrzął na ślepcę i wobec pewności jaką tchnęła ta twarz, pozbawiona światła, zrozumiał że wszystko będzie daremne.

Przeszedł przez salę, z pochylonym grzbietem. Na progu — zetknął się z zarządzającym. Uśmiechnął się do niego odruchowo. Ale pułkownik, wznosząc swą pięść olbrzymią, zagrzmiał:

— Nie śmiej pokazywać się tu więcej — gdyż na wszystkich świętych! zgmiotę cię tą oto ręką...

Arkadin rozpląnął się w mroku nocnym...

Z francuskiego tłumaczyła M. D.

PAOLO MANTEGAZZA

11

JEDEN DZIEŃ NA MADERZE

(KARTKA Z HIGJENY MIŁOŚCI)

Emma do Williama.

Londyn. 6 lipca 18...

Po pierwszej wizycie czułam, że spadł mi wielki ciężar i zdawało mi się, że trudnoby znaleźć w całym królestwie brytyjskim lekarza, bardziej obcego całej mojej naturze i instyktom. Sądziłam więc, że Opatrzność dała mi na początek najbardziej gorzką pigułkę, omyliłam się, jednak i tym razem: widać, że odmiany zła liczniejsze są, niż dobra. Drogi mój Williamie, wybierz najwygodniejszy z pomiędzy swych foteli, a zagłębiwszy się w nim i przymrużywszy oczy, śledź wzrokiem duszy Emmę, udającą się na Regent Street do doktora T...

Zaledwie służący wprowadził mnie do gabinetu, uczułam dreszcz spojrzawszy dokoła: był to dreszcz wewnętrzny zimna i musiałam skulić się w sobie i szczelniej owinąć szalem, aby nic nie stracić ze swego własnego ciepła. W tym pokoju, pełnym ciszy i symetrii, nie było nic zbędnego. Najmniejszego obrazka, jakiegokolwiek drobiazgu, kwiatka, świeczącego, że pan domu lubi piękno, że posiada jakieś zamiłowanie. Nawet jasne barwy, żywe kontrasty i harmonie, wypędzono precz z tego miejsca, gdzie panowała niepodzielnie matematyka.

Przymknęłam oczy, oczekując przybycia doktora T..., który też zjawił się niebawem. Był równie zimny i bezbarwny, jak i gabinet. Skłonił się lekko, bez słów, i usiadłszy czekał, aż rozpocznę swą bolesną opowieść. Podnosiłam kilkakrotnie wzrok i zaraz go spuszczałam, zmieniając mimowolnie wyraz swej twarzy, jakgdybym chciała odmienić owe oczy zgasłe i zimne, nic niemówiące, które budziły we mnie lęk. Nie potrafiłam nigdy rozmawiać z kimkolwiek, nie czując się związaną jakąś niewidzialną nicią z osobą mówiącą, a usiłując z całej mocy zbliżyć się do tego człowieka z lodu, próbowałam nagiąć swoje gesty, słowa, cały swój sposób bycia tak, bym miała z nim jakiś punkt styczny. Prózne wysiłki. Doktor T... i ja były to dwie istoty ludzkie, lecz większa dzieliła nas przepaść, niż — kwiat i pszczołę, niż wilka i kanarka.

Pospiesznie, gorączkowo wypowiedziałam cel swego przybycia, przytoczyłam opinie lekarzy i po raz setny djagnozę choroby. Starałam się wypowiedzieć wszystko jednym tchem, żeby nie przedłużać bodaj o minutę tej nieznośnej sytuacji.

On milczał ciągle, pozwalał mi mówić, lecz ani jedna zmarszczka na twarzy, ani jedno mrugnienie nie oświadczyło, że żyje. Siedzieliśmy blisko siebie i wzajemnie oddziaływanie moralne zaczęło się wyjaśniać i nienawidziłam już z serca doktora T...

Wreszcie, kiedy wypowiedziałam już rzeczy możliwe i niemożliwe, wszystko co wiedziałam o chorobie i czego nie wiedziałam, po kwadransie konwulsyjnej wręcz gadatliwości umilkłam, oczekując na jakieś słówko. Spodziewałam się, że przynajmniej głos jego zabrzmi ciepło.

Doktor T... odezwał się lodowatym tonem:

„Wszystko, co pani powiedziała, jest zbędne. Musimy zbadać organy“ — i, jak gdyby zmęczony tem, co wyrzekł, wstał, wskazując mi ręką otomanę, przeznaczoną na badanie chorych. Podniosłam się, jak posłuszna skinięciu tyra-
lecz, chcąc go prosić, by mi

oszczędził tej zbytecznej tortury, bowiem płuca moje badało już konsylium lekarzy, wybełkotałam tylko:

„Wybacz pan... lecz...”

Potrząsał głową z wyrazem lekceważącego sceptycyzmu i rozkazującym ruchem wskazującego palca wskazał mi po raz drugi otomanę, na której musiałam się położyć.

Badanie trwało pół godziny, a gdyby trwało jeszcze kilka chwil, wydaje mi się, że byłabym umarła.

Podniosłam się zdenerwowana i zmęczona, i ponownie usiadłam. Oprawca mój stanął przedemną, wykonywując jakąś okrutną mimikę przerywaną monosylabami; hm, hm, aha.

Potrząsał głową, zaciskał usta i marszczył brwi, wznosząc je niemal, aż do samych włosów, pocierał dwoma palcami lewej ręki gładki podbródek i przebiegając niemi kilkanaście razy krótką przestrzeń, dzielącą go od gęstych wąsów, łączył z wielką powagą oba palce — wskazujący i wielki — na podbródku.

„A więc pani chce udać się na Maderę, aby tam bronić się przeciwko grożącej ci chorobie?... Ale czyż pani nie wie, że wśród mieszkańców tej wyspy są skrofuliczni i suchotnicy? Na Maderze można cieszyć się widokiem szpitala dla płucnych, założonego przez wdowę po cesarzu brazylijskim, Don Pedro I.

„Czemu nie pojedzie pani na Islandję? Niema nigdzie mniej suchotników, niż w krajach, zawartych między izotermami 50° do 20° F. W Petersburgu i w Moskwie, gdzie temperatura średnia wynosi 38° F., w Kanadzie i w północnych częściach Stanów Zjednoczonych, na Islandji i na wyspach Feroe, na północy Norwegji, Szwecji i Laponji choroba ta jest niezmiernie rzadka.

„Nieprawda, że klimat łagodny chroni od niej. Podobno w Marsylii umiera na nią czwarta część ludności, a w Genui — szosta. Na Antyllach, Maderze, w Rio de Janeiro jest pospolita, i w równym stopniu w Nizy, Livorno, Florencji i Neapolu, na Malcie, w Hiszpanji w Portugalji, w Kalkucie i Madrasie... Na Martynice nie mniej, niż w Paryżu.

„Niektórzy lekarze każą pani mieszkać w okolicach bagnistych. Bajki! Inni jeszcze powiedzą: udaj się pani na płaskowyż And, na najwyższe szczyty alpejskie — tam niema suchot.

„Ale i to nie jest dowiedzione, w medycynie niema nic pewnego. Więcej niż klimat, oddziaływa tu, łaskawa pani, ruch i regime życia. Również i deprymujące namiętności mają wielki na rozwój choroby, zubożając krew, zmniejszając energję życiową, niszcząc trawienie i t. p. A jeśli prawdą jest co mówi doktor Elie, że cztery piąte ludzkości umierają wskutek zmartwień, należałoby zmartwienia utożsamić z suchotami. Nie chce pani udać się do chłodnych krajów, nie chcesz zażywać wiele ruchu i trudno ci być wesołą? A więc podróżuj pani po morzu.

„Galen, starożytny Galen, każe swym pacjentom podróżować po Nilu, nie by to było skuteczne samo przez się, lecz propter longinquitatem navi g a n d i. A obecnie Lee, Gilchrist i wielu innych dowodzą

pożytku żeglugi w zapobieganiu suchotom oraz w ich leczeniu.

GARŚĆ WSPOMNIENIŃ Z R. 1863

Opowiedziała dla wnuków Izabela z Sucheckich Kuncewiczowa

Chcąc zajmujące wspomnienia Izabeli z Sucheckich Kuncewiczowej podać w należytem oświetleniu historycznym, redakcja „Bluszczu” zwróciła się do wybitnego znawcy dziejów 1863 r., pana Gustawa Kaleńskiego, który zadał sobie wiele trudu, aby z urzędowych źródeł, znajdujących się w Archiwum Akt Dawnych, a z Bolszewji nam powróconych, wydobyć dane dotyczące się Pani Izabeli Kuncewiczowej. Dzięki krytycznej pracy pana G. Kaleńskiego — cenne wspomnienia z roku 1863 nabierają wartości dokumentu. *(Przyp. redakcji).*

Rok 1863. Rok wielkich nadziei, ofiar bezgranicznych, poświęceń i męczeństwa! Opisy walk należą do historii, pomijać je też będę, a chcę opowiedzieć takie osobiste przeżycia, które rzucą trochę może światła na minione czasy i ludzi. Podam wszakże jeden epizod, związany z zapoczątkowaniem akcji powstańczej zbrojnej, mało może znany.

Dnia 22 stycznia 1863 r. zaczęli się do nas (do Planty w Siedleckiem) zjeżdżać zorganizowani już powstańcy i wieczorem, w liczbie około 70-ciu, udali się piechotą do Radzyna, gdzie, według otrzymanych informacji, żołnierze (Polacy służący w armii rosyjskiej) mieli im tego dnia wydać broń z „cekhauzu”¹⁾, połączyć się i następnie razem rozgromić wojska rosyjskie.

Wejście do Radzyna miało się odbyć cicho, aby nie obudzić czujności władz moskiewskich, przechodząc jednak koło domu ogólnie znienawidzonego żandarma, Chwoszczańskiego, kilku młodych zapaleńców, ujrawszy światło w jego domu, odłączyło się od reszty towarzyszy i wpadło do mieszkania żandarma „aby z nim zrobić porządek”. Tam zastali gospodarza domu, zabawiającego się kartami w towarzystwie generała Kannabicha i dwóch jeszcze oficerów Rosjan. Gdy grające towarzystwo zobaczyło ludzi uzbrojonych, ktoś zgasił świecę i wszyscy schowali się pod stół. Zaczęło się szamotanie, wyciąganie z pod stołu, wszczął się alarm, tak, że skończyło się na obcięciu ucha generałowi Kannabichowi i powstańcy musieli uciekać²⁾.

W koszarach również się nie powiodło; informacje okazały się mylne, żołnierze broni nie wydali i nie połączyli się z powstańcami; trzeba było nietylko umykać, ale starannie zatrzeć wszelkie ślady.

Tydzień trwała cisza i dopiero w najbliższą niedzielę wojsko rosyjskie otoczyło w czasie sumy kościół i zaczęło się rozpoznawanie i wyławianie winnych napadu na koszary. Aresztowano wielu, trzech powieszono na rynku w Radzynie, innych zesłano do ciężkich robót na Syberję. Między tymi ostatnimi był młody, 16-to letni uczeń Warszawskiej Szkoły Sztuk Pięknych, p. Stanisław Wronski, który, po powrocie z Syberji, znany był w kraju jako utalentowany malarz,

Reszta uczestników napadu ukryła się w lasach. Zima była wyjątkowo łagodna, obywatele dosyłały żywność, słomę, paszę dla koni, przebywanie więc w skrytkach leśnych było możliwe, a z każdym dniem przybywało dużo ochotników, tak że niewielka narazie garstka wzrastała szybko i w krótkim czasie utworzyła się partja, nad którą objął dowództwo pan Szaniawski³⁾, właściciel majątku Brzegaliny, w Siedleckiem pod Białą.

W pierwszej potyczce pod Białą zginął dowódca; dalsze losy partji zanotowały kroniki współczesne, ja więc przejdę do faktu, aczkolwiek związanego tylko z akcją zbrojną, charakteryzującego jednak nastrojówczesnych kobiet Polek.

Po śmierci p. Szaniawskiego, żona jego z jeszcze większem zaparciem się siebie pracowała dla sprawy narodowej. Pewnego razu pojechaliśmy do niej, aby przygotować bieliznę, szarpie, opatrunki, gdyż w lasach pobliskich ukrywał się oddział powstańców, oczekując nadejścia wroga.

We dworze szykowano kolację, aby jednych ugościć w domu, innym posłać do lasu, gdy wpadł wysłannik ze straszną wieścią, że nasi rozbici i Moskale ciągną do dworu.

Nie mogliśmy odjechać; drogi były już obstawione, p. Szaniawska zatrzymała nas, gdyż trzeba było uzyskać przepustkę na przejazd. Ze wstretłem musieliśmy asystować przy kolacji, przygotowanej dla swoich, a podanej wrogowi, wraz z niewidomą starszką, matką p. Szaniawskiej.

Odjechałyśmy już późnym wieczorem, zaopatrzone w glejt moskiewski, i dopiero w kilka dni później dowiedziałyśmy się o tem, co po naszym odjeździe zaszło. P. Szaniawska zaproponowała swoim nieproszonym gościom udanie się na spoczynek. Ze świecą w rękę poprowadziła ich przez szereg pokoi, wreszcie zatrzymała się przed drzwiami, wiodącymi do salonu. Gdy je otworzyła, oczom Moskali przedstawił się wstrząsający widok: na ogromnym dywanie leżały zwłoki kilkumastu pomordowanych powstańców, palące się przy ich głowach świece rozjaśniały i uwy puklały ponury obraz. Cofnęli się, zaskoczeni tym widokiem oficerowie, a p. Szaniawska rzekła. „Tu najodpowiedniejszy nocleg dla panów—obok waszych ofiar”.

Niezwykłość sytuacji sprawiła, że bez słowa wsiedli na koń i odjechali.

Przechodzę teraz do własnej historii.

Działo się to w końcu listopada 1863 r. Mieszkaliśmy w Siedleckiem, w Plancie, własności hr. Brzozowskiej, gdzie, po utracie swego majątku, ojczym mój, Bolesław Falkowski, był plenipotentem.

Oboje rodzice pracowali na rzecz powstania, ojczym spełniał rozporządzenia Rządu Narodowego na prowincję, matka rozpowszechniała po wsiach między ludem broszury, pisała odezwy, urzędowała zebrania agitacyjne i t. d., a ja z całym zapałem młodzieńczym pomagałam im obojgu.

W tym czasie, kiedy rozpoczynam moje opowiadanie, oboje rodzice byli poszukiwani przez władze moskiewskie i ukrywali się w sąsiednich majątkach, zmieniając wciąż miejsce pobytu, a tymczasem towa-

¹⁾ Magazyn wojskowy.

²⁾ Napad na Radzyna miał inny przebieg niż podaje autorka.

Powstańcy, podzieleni na trzy oddziały, pod ogólnem dowództwem majora Bronisława Deskura, uderzyli na Radzyna w nocy z 22 na 23 stycznia. Plan uderzenia był następujący: jeden oddział miał otoczyć mieszkanie dowódcy żandarmów Chwoszczańskiego i wziąć do niewoli oficerów, grających tam w karty, a przedewszystkiem generała majora Kannabicha, dowódcę 5 brygady artylerji; drugi aresztować oficerów, zgromadzonych w mieszkaniu pułkownika Borozdina; trzeci wreszcie miał napaść na odwach i zabrać armaty. Plan został wykonany, chociaż niezupełnie. W ręce powstańców dostało się 8 armat, których nie można było wywieść z powodu braku koni; gen. Kannabich został ciężko ranny. Rosjanie stracili ogółem 6 zabitych i 12 rannych. Powstańcy, straciwszy kilkunastu zabitych i rannych, musieli wycofać się z Radzyna. Szczegółowy opis napadu. „Z pamiętników Bronisława Deskura” Wydawnictwo materiałów do historii Powstania 1863—1864. Tom II. Lwów, 1890.

³⁾ Informacja niedokładna: Aleksander Szaniawski już w nocy z 22 na 23 stycznia zorganizował napad na Łomazy; później pod dowództwem Rogińskiego walczył pod Białką, Niemirowem, Siemiatyczami, wreszcie 21 lutego pod Sycyną, gdzie poległ.

rzysze pracy narodowej starali się o paszporty zagraniczne dla nich, na cudze nazwiska.

Ja zostałam w domu na wsi, i przeżywałam ciężkie, niepokojące chwile. Służba dworska rozbiegła się, inwentarz zabrano, w majątku zostało tylko owczarz z rodziną i stary furman z ocalałą parą koni. Wieś była o dwie wiorsty oddalona od dworu.

Codziennie powtarzały się nocne rewizje w poszukiwaniu matki i ojczyzna. Drżałam ze strachu, słysząc dobijanie się i krzyki; „Jest' Falkowski! Jest' Falkowski!”

Otwierałam drzwi i wtedy rozpoczynało się przeszukiwanie kątów, połączone często z niszczeniem sprzętów, darcie poduszek, pościeli.

Przeciągały też często oddziały powstańców, to znów wpadali kozacy, a ja byłam we dworze sama i miałam lat 17.

Opieka Boża była jednak nademną i złe omijało. Na ołtarzyku, przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej, paliłam całe dnie i noce świece.

Ona dodawała mi odwagi i oniesmiała wroga.

Nadeszła wreszcie upragniona wiadomość, że paszporty zagraniczne nadeszły i matka dała znać, że oczekuje u krewnych naszych, pp. Barwińskich, na mnie i na potrzebne rzeczy. Zebrałam wszystko, co było koniecznym i następnego dnia wyruszyłam do Dubowa. (c. d. n.)

NAJWIĘKSZA TRAGICZKA WŁOSKA — ELEONORA DUSE

Vigerano, skromne i ciche miasteczko we Włoszech, wymieniane jest zazwyczaj, jako miejsce, gdzie Eleonora Duse ujrzała światło dzienne, dnia 3-go października 1859 r.

Faktycznie, wielka tragiczka włoska przybyła na świat w pociągu, w dżdżysty jesienny wieczór, gdy rodzice jej, wędrujący aktorzy, po zamknięciu niefortunnego sezonu w Wenecji, wyruszyli z garstką swej trupy do Vigerano, w nadziei doczekania się lepszego jutra.

Pospolity, niechlujny wóz 3-ciej klasy kolei żelaznej przed 60—70 laty, przedstawiał zapewne obraz krańcowej nędzy i rozpacz i nie mógł chyba rościć najmniejszych bodaj pretensyj do miana wygodnej, no i czystej kolebki dla noworodka. W takich to zabójczych warunkach, rozpoczęła wielka artystka ciernistą drogę swego życia.

„Figlio dell'arte“, czyli dziecko teatru, urodzone niemal pomiędzy jednym przedstawieniem, a drugim, Eleonora Duse miała od kolebki wytkniętą jedną tylko drogę życiową.

Chowała się za kulisami scen, po garderobach aktorów, bawiła się pomiędzy dekoracjami teatralnymi i odkąd tylko zaczęła mówić i chodzić — już zaczęła grać.

* * *

Bez pewnego jutra, prawie stale w podróży, w słotę i upały, w ciasnych, brudnych dyliżansach, często o głodzie i chłodzie sprzedawali wędrowni aktorzy włoscy swe sztuczne łzy, uniesienia i uciechy za marne pieniądze i oklaski.

Pomimo jednak przerażającej nędzy i częstych paroksyzmów rozpacz, rodzice Eleonory „Alessandro i Angelica Duse“, nie opuściliby z pewnością sceny dla innych, lepszych zarobków.

Pozostawili też swej córce jedyne bogactwo w spadku: uczciwą, rzetelną, bezinteresowną bodaj służbę sztuce, aż do ostatniego tchnienia...

Eleonora nie zaznała nigdy prawdziwej niefrasobliwości dzieciństwa, nie miała też ani zabawek, ani rozrywek odpowiednich jej latom. Jeżeli nie uczyła się jak papużka wierszyków i rolek, powtarzając je chętnie za ojcem, jeżeli nie grała co wieczór, to musiała pomagać w domu matce, uginającej się pod ciężarem pracy i obowiązków.

Pięcioletnie dziecko, umiało już doskonale sprzątać, szorować statki, obierać kartofle i t. d.

Nie odżywniona, ani chowana normalnie, wyglądała stale, niby wątłe, zbiedzone cyganiątko, w nędz-

ne szatki ubrane, ze wspaniałemi smętnymi oczyma, które patrzyły na świat tak poważnie.

* * *

Pierwszy raz ujrzała imię swe wydrukowane na afiszach, gdy miała lat 14. Grała wówczas z matką w teatrze „Nobile“ w sztuce „Zara“.

Drżący, dziecinny niemal głos Eleonory, kierowany przewrażliwionym instynktem, odnajdywał najszczerze akcenty i głęboko poruszał dusze słuchaczy. W owym czasie tylko matka, rozumiała jej treść i lęk przed widownią. Tylko matka, powiernica i świadek forsownych wysiłków dziecka, tylko ona, która sama zaznała ekstazy uniesień i bezedno rozpacz, umiała dodawać córce sił w walce o najcięższy kawał chleba. Gdy Eleonora rozpoczyna 15 rok życia, zmuszona jest pracować jak dorosła, zarabiając na swoje i rodziców utrzymanie,

* * *

Pierwszy większy sukces sceniczny Eleonory Duse przychodzi niespodziewanie, gdy gra w Weronie rolę „Julji“ („Romeo i Julja“).

Skończyła właśnie 16 wiosen.

Na scenę, jako „Julja“, weszła z kwiatami, pełne ręce miała świeżych, białych róż i nie rozstawała się z nimi do końca przedstawienia...

Na drugi dzień wszystkie gazety miejscowe przeciągały się w pochwałach, „Trovata di rose!“ — pisały — „zdobyci!“

Znaleźliśmy wreszcie wspaniałą — różę — we Włoszech!“

„Cała wielkość Shakespeare'a skupiła się w postaci „Julji“, młodziutka Eleonora Duse zebrała, zapewne, wszystkie swe drobne oszczędności, aby zakupić te wspaniałe, świeże różę, jeszcze białe, na wpeł rozkwitłe... W jej dłoniach stały się dla niej talizmanem powodzenia...“

I do końca przedstawienia, młodociana artystka, wiedzona genialnym instynktem, wyczarowuje najpiękniejsze akcenty swej roli, nadając królewskim kwiatom głębokie znaczenie: jednoczenia miłości i śmierci.

Rola kwiatów w życiu każdego człowieka, a szczególnie kobiety — była podkreślana przez Eleonorę Duse we wszystkich jej kreacjach,

Od chwili tej (r. 1875) rozpoczyna się faktycznie sukces teatralny artystki, który dla biografów staje się kamieniem węgielnym niezwyklej jej kariery sce-

nicznej; Trovato di rose!“ — róża włoska — objawiła się...

Gdy miała lat 4 — wystąpiła na deskach sceny po raz pierwszy, W 14 roku życia, była już osobistością której nazwisko drukowano na afiszach; w 24-ym roku zostaje uznana jako pierwszorzędną artystka we Włoszech, a po upływie jeszcze lat 10, trzydziestoparoletnia tragiczka włoska zostaje wciągnięta w poczet gwiazd scenicznych całego świata. Artyzm jej rósł i rozwijał się z latami.

Z zahukanej dziewczynki stawała się interesująca kobieta, z aktoreczki — nieprzeciętną artystką.

Eleonora Duse nie była nigdy piękną w pospolitem znaczeniu. Posiadała tylko czarne, smętne oczy Sfinksa, bladą twarz, napiętnowaną stygmatem cierpienia; uśmiech łagodny, oraz przedziwny czar sposobu bycia, któremu ulegał każdy, kto tylko do niej się zbliżał.

Fascynowała.

Była, jeżeli tak określić można, mistyczna, nieuchwytna, niemal nieprzenikniona, od dziecka do siwych włosów.

Na scenie w ujęciu każdej roli była przede wszystkim oryginalna i daleko odbiegająca od wszelkich szablonów.

Studjuje i uczy się...

Każdą wolną chwilę i każdy zbywający grosz oddaje na książki. Niezależnie, w jakim języku pisana jest książka, nabywa ją i nie rozstaje się dopóty, aż spotka kogoś, kto dzieło jej to przetłómaczy.

O każdej porze dnia, a nawet i nocy, można ją było zastać w jej pokoju, najczęściej na podłodze, na dywanie, obłożoną encyklopedjami i książkami z rozmaitych dziedzin: Estetyka, Historia sztuki, Socjologia, Filozofia, Literatura i t. d. i t. d.

W każdym mieście i miasteczku włoskiem, do kąd rzuca ją los, zwiędza przedwzrostkiem muzeagalerje, księgarnie; śpieszy na koncerty, do kościołów i ruin. Pojawia się nawet podczas konferencji politycznych i rozpraw naukowych.

Zdawać się mogło, iż nic nie jest w stanie zadowolnić wymagań i ciekawości tej wyjątkowej kobiety.

Nie szukać wiecznie nowych dróg, nie próbować, nie załamywać się, nie wątpić, nie cierpieć! — to znaczy — cofać się.

Takie jej było motto!

* * *

W roku 1855, mając już lat 26, oraz rozgłos ułalentowanej artystki, przyjmuje Eleonora Duse pierwsze engagement zagranicę i wyjeżdża z trupą Rossiego do Ameryki.

Ta fascynująca ją oddawna podróż za ocean, zmienia radykalnie dotychczasowy sposób jej życia.

Powodzenie staje się zawrotne. Z partnerem owym Andó Flavio czarującym, pierwszorzędnym amantem na scenie — podbijają bez wysiłku publiczność amerykańską. Nowy-York dostaje szału — na punkcie Eleonory Duse. Rozgłos i sława idą w parze z dużym zarobkiem. Ze skromnej artystki włoskiej — Eleonora staje się gwiazdą „Signorą“ — zwracającą powszechnie uwagę swemi oryginalnemi i wyjątkowemi toaletami.

Lecz absolutna wielkość i dojrzałość tragiczki rozpoczyna się w okresie lat 28—29, gdy na drodze

swego życia spotyka kompozytora-muzyka, o wszechświatowej już sławie, Signora Arrigo Boito!

Nieprzeciętny zaiste człowiek, o niepospolitym talencie, wyjątkowej kulturze, gentlemen w każdym celu.

Autor opery „Mefisto“ i wielu innych, którego „Nerone“ wystawiony w Medjolanie staje się wydarzeniem nieprzeciętnej wagi w świecie muzyki włoskiej.

Eleonora Duse i Arrigo Boito!

Dwa charaktery, dwie nietuzinkowe indywidualności, o szerokiej skali temperamentów artystycznych, połączone przyjaźnią, wytwarzają rzadką harmonję wyższych intelektów.

Z chwilą, gdy artystka zdobywa miłość i przyjaźń sławnego kompozytora, staje się, jak sama się wyraża, z nędzarki magnatką.

Kobieta o duszy mimozy i wyższym intelekcie, wstępuje do zaczarowanego pałacu, śnionych jeno dotychczas snów o szczęściu najwyższej harmonji ciała i ducha.

Artystka rośnie, olbrzymieje. Eleonora pięknieje. Wewnętrzne zadowolenie i spokój oświetla jej rysy, ruchy stają się majestatyczne, opanowane.

Wspólnie odbywane studia z mistrzem — przyjacięciem, wspólne dociekania w tej, lub innej dziedzinie wiedzy stają się dla tragiczki źródłem nieznanego dotychczas rozkoszy. Muzyka Boito, jego niepospolity talent kompozytorski nadaje przyjaźni tej specyficznie uduchowione tło.

Arrigo Boito był pierwszym mężczyzną, który przelewa światło na wybitną indywidualność Eleonory Duse, nie tylko na scenie, lecz i w życiu prywatnem.

Jego głęboka bezinteresowna miłość umieszcza ukochaną kobietę wysoko na piedestale dramatycznej sztuki we Włoszech. Na wyżynach tych pozostaje Eleonora Duse później, przez długie lat 30.

W roku 1898 — tragiczka włoska dobiega lat 40. Jest sławna, zamożna i osamotniona.

W tym roku spotyka Gabrijela D'Annunzio (młodszy był od niej o lat 5) utalentowanego poetę włoskiego, którego dzieła poruszają ją do głębi.

D'Annunzio olśniony jej sławą, pełen nieokiełznanej fantazji widzi w zbliżeniu do niej urzeczywistnienie swych pragnień: pierwszorzędną tragiczka na świecie, będzie, być może, kreowała sztuki, które on napisze...

Z jej wyjątkowym talentem i intuicją artystki dzieła jego rozbłysną tęczą różnobarwnych iskier, a imię jego stanie się nie mniej sławne i wielkie...

Nie zawiódł się... ten mistrz reklamy, niezrównany inscenizator poematów życiowych, w których sam odgrywał pierwszą rolę...

Eleonora Duse staje się duszą, sercem, tętnem każdego najmniejszego bodaj, dzieła poety.

Staje na straży jego interesów, nie szczędzi wysiłków, aby twórczość poety — sybaryty wzniesić na wyżyny, oprawić w przepyszne ramy sceniczne, rozśłać szeroko po świecie.

Na wystawienie pięciu sztuk Gabriela D'Annunzio, na dekoracje, reklamę, kostjумы wydaje całą niemal fortunę.

A dziś, w promieniu jego glori, imię wielkiej tragiczki wspomina się za ledwie wówczas, gdy się wymienia role, które ongi kreowała.



Wielkość charakteru Duse ujawnia się najbardziej, gdy poeta wbrew jej woli, wydaje drukiem książkę „Il fuoco“ (Ogień). W szalonej tej książce odmalowuje genialną swą przyjaciółkę jako damę „przekwitłą“, dużo starszą od młodocianego kochanka. Powieść przynosi mu jeszcze jeden liść wawrzynu do chwały jego, lecz dyskredytuje go w opinii publicznej, jako gentlemana.

Historja była zbyt jawna, zbyt intymna.

Lecz D'Annunzio pragnął rozgłosu, pragnął sławy za wszelką cenę, pragnął pieniędzy.

Ileż cierpień, bolesnych zadrasnień i ran krwawiących w duszy, można wyczuć przy zestawieniu tych dwóch postaci! „Il fuoco“ spala i rozsypuje w proch najwyższe ideały artystki, entuzjizm i poświęcenie kobiety...

* * *

Rok 1914. Wybucho wojna. Eleonora Duse przenosi się do Udine, najbliższej portu położonego miasteczka.

Odtąd, aż do zawarcia pokoju: cierpienie ludzkie, krew, najohydniejsze rany, nędza i śmierć bohaterów — stają się dla artystki codziennym widowiskiem.

Dla setek tysięcy biednych swych braci ma zawsze otwarte serce i kieszeń. Ranni i sieroty pochłaniają olbrzymie sumy. Eleonora Duse, bez chwili wahania sprzedaje wszystko co posiada najdroższego: bibliotekę (za 60,000 lirów) wspaniałe kostjomy teatralne; znakomite swe różowe perły (dar dworu hiszpańskiego), arcydzieło sztuki i t. d.

A gdy wojna została ukończona — jest zrujnowana.

Niema z czego żyć.

Omawia jednak kategorycznie Mussoliniemu, już podówczas premierowi Włoch, przyjęcia emerytury, którą ofiarowuje jej hojnie, za wyjątkowe zasługi, położone w dziedzinie rozwoju teatru włoskiego.

— Jesteśmy młodem, zrujnowanem po wojnie państwem, — odpowiada premierowi — każdy obywatel włoski, powinien dawać, a nie brać... Dopóki stoję na nogach — będę pracować.

Po 12 latach przerwy, zniewolona nędzą — po walce stoczonyj z sobą, gdy ambicja artystki nie chciała zezwolić starzejącej się kobiecie grania na scenie dla chleba... i wzbudzenia litości, decyduje się na ten krok.

Zciąga ze wszystkich stron rozproszonych po kraju aktorów swej trupy, przyjmuje engagement do Ameryki i jedzie... aby nie ominąć okazji rozświetlenia raz jeszcze za oceanem „boskiego języka włoskiego i sztuki włoskiej“.

W Stanach Zjednoczonych staje przy końcu października 1923 r. W Nowym Yorku oczekiwały ją triumfy, jakich nie spodziewała się. Miasto to lubujące się w widowiskach ulicznych i reklamie na wielką skalę, urządza dla artystki włoskiej — królewskie przyjęcie.

Nowy York—Indianapolis—Detroit—Pittsburg—oto etapy ostatnich sukcesów gwiazdy włoskiej. Grając w „Syria Mosque“ w olbrzymim gmachu, który pomieścił przeszło 3,800 — widzów, zaziębia się śmiertelnie.

Umiera w Pittsburgu na zapalenie płuc 21 kwietnia 1923 r.

„Tragiczny los Eleonory Duse nie mógł się zakończyć tragiczniej. Zdała od Włoch umiera to serce najbardziej włoskie“ — pisze Gabriel D'Annunzio.

Gdy wieść o zgonie największej tragiczki włoskiej lotem błyskawicy rozniosła się po całym świe-

cie, — Mussolini zarządził natychmiast sprowadzenie ciała na koszt państwa do Włoch.

I oto w dniu 1 maja 1923 r., gdy niebo włoskie było wyjątkowo szafirowe, słońce rzucało złote, życiodajne promienie, zaś we wszystkich sadach i ogrodach kwitły na potęgę białe róże... w starym kościele „Santa Maria degli Angeli“ — w obecności przedstawicieli rządu, dyplomatów cudzoziemskich, aktorów i publiczności rozpoczęło się solenne nabożeństwo żałobne.

Nad drzwiami starożytnego kościoła, na tarczy widniały proste słowa, Silvio D'Arnico:

„Rzym i Macierzyste Włochy modlą się o spokój dla strudzonej duszy Eleonory Duse, w godzinę jej powrotu z ostatniej pielgrzymki ziemskiej“. Stan. Skar.

ODKARZENIE LEKARZY

Nie poprzestał Stwórca, karzący prarodzców naszych, na poddaniu ciała ludzkiego chorobom zwykłym i śmierci. Jak tylko ludzkość zaczęła się mnożyć dopuścił nadto choroby kwalifikowane, choroby jednostek i społeczeństwa zarazem — epidemie. Ich kosą ścina śmierć nielitościwa tysiące, zabiera wraz z charakterami najzdrowszych, a strach pędzący przed morowem powietrzem tamuje i dławi życie społeczne. Ludzie żyją w obawie, a chociaż nikt jeszcze nie zliczył, na ile przez to zmniejsza się wydajność ich pracy, jej ilość i jakość — każdy wyrozumie snadnie, że tu chodzi o wielkie rzeczy.

W czasach najnowszych rzadko się zdarza mór na dorosłych. Natomiast zarazy dziecięce szerzą się ciągle, zwłaszcza w krajach z ludnością mieszaną częściowo całkiem, częściowo przez pół albo i mniej cywilizowaną, w krajach, gdzie od Bristolu na Bagnio nie będzie dalej jak kilometr drogi, gdzie obok lekarzy przewspółczesnionych aż do znachorstwa, leczą sobie jak za dawnych dobrych czasów znachorzy pierwotni, zamawiając nic nie mający wspólnego z magami ze Wschodu.

Walka z epidemiami jest jednym z zadań nowoczesnego państwa. Urzędnicy-lekarze mają moc wydania zarządzeń, obowiązujących obywateli, nieraz przykrych i kosztownych bardzo w wykonaniu. Mogą się uciekać do środków przymusu, jeżeli obywatel nie dba o przecinanie dróg wrogowi, w którego istnienie tak często nie wierzy, bo wróg to przecież niewidzialny dla laików, nieuzbrojonych w mikroskopy — czasami nawet i dla następców Eskulapa — tylko przez nich wydedukowany.

Na czele wszystkich środków walki stoi odosobnienie chorego, wyjąławianie wszystkiego, co miało z nim styczność. Ideałem władz sanitarnych w znacznej mierze urzeczywistnionym jest leczenie wszystkich chorych zakaźnych w szpitalach, przymusowe pozabawianie ich opieki matczynej na rzecz zawodowej — co to potrafi, jak u nas, nawet zastrajkować. Trudno, trzeba przeciąć wszelką łączność ogniska zarazy ze światem. Zalecają albo i zakazują wchodzić do mieszkań, w których są chorzy, zarządzają przymusowo kosztowne dezynfekcje po zakończeniu choroby.

Wszystko to jest dobre, mądre, konieczne, szkoda, że nie można tego posunąć jeszcze dalej. Zachodzi tylko pytanie, dlaczego z obowiązku ostrożności zupełnej wyjęci są lekarze?

Bo proszę sobie dobrze uświadomić, że ludzie, którzy zrywają stosunki z najbliższymi na miesiące całe, którzy zatrzymują dzieci na wsi bez szkoły, pilnują, żeby nie jeździły tramwajami, opalają każdy kawałek pieczywa przed podaniem na stół i t. d. i t. d.

niemal bez końca — że ci sami ludzie wzywają do dziecka lekarza, który przychodzi do nich... prosto od innego dziecka, chorego zakaźnie.

Lekarz ten wystrzega się zbytecznego zetknięcia z wszystkim, co zakażone, wystrzega się umiejętnie, ale przecież nie unika zetknięcia niezbędnego i nie jest w stanie ani jednego dnia uniknąć jakiegoś zetknięcia przypadkowego. Ze po i przed badaniem chorego umyje ręce w zwykłej wodzie, zwykłym mydłem, że zdejmie przypinane mankiety — czy to są ostrożności, których zachowanie uznalby za dostateczne zabezpieczenie, gdyby chodziło o kogokolwiek innego?

Takie postępowanie bywa zrozumiałe, ilekroć zachodzi konieczność, ilekroć nie można złemu zaradzić. Zdawałoby się, że tutaj musi być tak samo, że niema rady, że albo dzieci będą leczone wszystkie przez tych samych lekarzy, albo po jednej ze stron epidemicznego przedziału nie będą leczone wcale.

Wydaje mi się, że jest inaczej, że trzeba tylko trochę wysiłku organizacyjnego, trochę poświęcenia na początku — a możnaby rzecz załatwić pomyślnie.

Przecież o ile chodzi o ostre choroby zakaźne dorosłych robi się inaczej. Znajdują się wtedy lekarze, którzy dla idei czy dla kwalifikowanego zarobku oddają się na pewien czas wyłącznie leczeniu zarazy, a lekarz zwykły, skoro tylko stwierdził fakt, czy nawet poszlaki zarazy — przekazuje chorego na mór owemu specjalście. Nie widzę powodu, dlaczegoby nie miało być podobnie z chorobami dziecięcymi. Chyba nie dlatego, że lekarze sami na choroby dziecięce nie zapadają, a po powrocie do domu czyszczą się lepiej, niż przy przechodzeniu od jednego chorego do drugiego.

Dwie są tylko trudności: zaufanie rodziców do stałego lekarza i tego lekarza strata w zarobkach. Pierwsze nie jest bagatelą już jako sprawa subiektywna, a dodać trzeba wzgląd obiektywny na znajomość organizmu chorego. Wszelako w tym właśnie wypadku raczej zachodzi konieczność — nie taka zresztą surowa, bo lekarz-specjalista może i powinien naradzić się telefonicznie z lekarzem stałym. W ten sposób łagodzi się nieco i sprawa zarobkowa (taka narada musiałaby być uważana za consilium). Nadto władza sanitarna musiałaby obmyśleć sposób premjowania lekarza za każdy meldunek o odkrytej przezeń chorobie zakaźnej.

Jest to jedna z tych inicjatyw, na którą dziesięciu powołanych wzruszy ramionami, a jeden mógłby przeprowadzić i nie upłynęłoby lat wiele, kiedyby wszyscy wspominali ze zdziwieniem dzisiejszą barbarę tak głęboką, a tak niedawną.

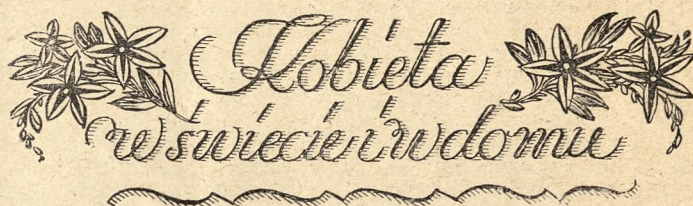
Trzeba tylko potrząsnąć tym zwyczajem, że przepisy sanitarne są obmyślane niemal wyłącznie dla laików. Zartobliwie cytowane przysłowie „praesente medico nihil nocet“ głosi zasadę w rzeczywistości jakby podświadomie stosowaną szeroko. Nie trzeba czekać, aż zmusi do zmian publiczność, boć już teraz w wielu rodzinach wzywa się pedjatrę tylko w obliczu konieczności właśnie w obawie, żeby „czego nie przyniósł.“

A ktoby chciał tę inicjatywę potraktować z miejsca jako wymysł teoretyka i laika — niech zważy jeszcze, co następuje. Oto radzili niedawno panowie sanitarni, jakby zakazać golarzom, aby nie mydlili dwóch gości jednym pędzlem. Omal nie kazali dla każdego brać nowego. U tyczące golarzy jest zwyczaj już zdawna, że każdej głowie kładą na oparcie świeżą bibułkę, a na kark czystą watę. Taki, co bierze coś dwa złote za strzyżenie daje nawet świeży ręczniczek. Tyle golarz, z wykształcenia perukarz, conajwyżej felczer, biorący za zabieg poniżej złotego do dwóch.

A teraz zajrzyjmy do gabinetu lekarza. Przesunie się tam niejedna biedota, nie płacąca nic zgoła. Ale normalny pacjent zostawia 10 do 30-tu złotych. Lekarz prezentuje mu kanapę starszą lub młodszą, ale zawsze tapicerskiej roboty, każe się rozebrać i położyć. Na tej samej kanapie jednemu po drugim. Nie da czystego prześcieradła choćby ćwierci, coby wystarczyła na zabezpieczenie nowej golizny przed zetknięciem z tem wszystkim, co zostawiły na kanapie wszystkie poprzednie. Tego już nikt nikomu nie wytłumaczy, że jest w porządku.

Medice cura te impus, a może lepiej: medyku dzierzący władzę sanitarną, sięgnij po tram w oku swego kolegi.

Jola.



TAKŻE PRZESZKODA

Jedno z pism paryskich wystąpiło z krytyką przejawiającej się wśród kobiet francuskich dążności do zawodu adwokackiego. Sama krytyka nikogo nie zdziwi, oryginalnymi wszakże były argumenty, jakimi posługiwał się autor artykułu dla wykazania nieudolności kobiet do piastowania godności adwokata. Oto mianowicie utrzymuje on, że kobietom zabraknie sił fizycznych, aby znieść trudy, związane z zawodem obrońców paryskich, którzy muszą przebywać nieskończenie długie korytarze gmachu Palais de Justice!

Komentując tem artykuł, „Le Droit des Femmes“ zapytuje, dlaczegoby specjalnie schody i korytarze gmachu sądowego miałyby być tak męczące dla nóg kobiecych? Czy kobiety nie pracują w zawodach, wymagających o wiele większych sił i wytrzymałości fizycznej, jak np. zawód ekspedjentki sklepowej, przy którym trzeba przez cały dzień stać za ladą bez możliwości wypoczynku? Czy chociażby nauczycielka nie potrzebuje biegać za lekcjami przez dzień cały, przebywając daleko większe przestrzenie i ilości pięt, niż adwokat w gmachu sądowym? Jeśli kobieta nie jest uzdolnioną do zawodu adwokata, kończy swe uwagi sprawozdawczyni prasowa „Le Droit des Femmes“ to w każdym razie nie stoją jej w tem z pewnością na przeszkodzie siły fizyczne!

Z. B.

Z TEATRÓW

TEATR NARODOWY

„Król Edyp“ tragedia Sofoklesa. Przekład

K Morawskiego

Z trójcy największych tragików, jakich wydała starożytna Hellada, Sofokles jest nam najbardziej znany i naszemu odczuwaniu poezji tragicznej najbliższy. Najczęściej też bywał tłumaczony i grywany. Ponieważ jednak dziś studjum klasycznej literatury bardzo w Polsce osłabło, nie od rzeczy może będzie przypomnieć parę dat z jego życia i twórczości. Urodził się Sofokles, w Atyce w roku 497 przed Chrystusem. W roku 480, to znaczy jako chłopiec jedenastoletni przewodzi chórem chłopięcym podczas uroczystości urządzonych na cześć zwycięstwa pod Salaminą. Kimon dopomaga, mu do wybicia się na polu literackim i już w roku 468 zwycięża Sofokles na turnieju tragików swoją tragedją „Triptolemos“. Całe dalsze długie jego życie upływa mu w rodzinnych Atenach. Zajmuje on tu rozmaite wysokie urzędy państwowe

i kapłańskie, zaś po śmierci, która nastąpiła jesienią 406 roku, zaliczony został pod imieniem Dekiona w poczet herosów i corocznie czczony ofiarą. Genjalny ten tragik był, także bardzo uspołecznionym człowiekiem i on to właśnie założył w Atenach pierwszy, znany w dziejach, związek artystów dramatycznych. Sam jednakże, w przeciwieństwie do innych tragików i komedjopisarzy helleńskich, nigdy jako aktor nie występował.

Tragedyj napisał Sofokles, podobno aż 130, do naszych jednak czasów zachowało się ich zaledwie 7. W porównaniu z Ajschylosem, Sofokles w swych tragedjach bardzo znacznie ograniczył rolę chórów. Teraz cała waga akcji spoczywa na barkach osób działających, zaś pieśni chóru są do tragicznych przeżyć i nastrojów osób głównych, jakby lirycznym akompaniamentem. Porzucił też Sofokles częsty w Atenach zwyczaj pisania trylogij tragicznych, do spółki z innymi autorami. Dzieła jego bardzo przez to zyskały na wartości i jednolitości stylu. Z siedmiu pozostałych do dzisiaj dzieł Sofoklesa uchodzi za najlepszy i wogóle najznakomitszy utwór dramatu greckiego „Antyгона”, którą Sofokles, jako swój 32-gi utwór wystawił. Następuje potem „Elektra”, „Trachinki”, „Ajas”, „Edyp Król”, „Edyp w Kolonie” i „Filoktet”.

Charakterystyczną cechą talentu Sofoklesa jest niezwykle silna świadomość twórcza. „Ajschylos tworzy rzeczy piękne sam o tem nie wiedząc” — miał podobno kiedyś powiedzieć Sofokles o swym pokonanym w turnieju poetyckim przeciwniku. Sam Sofokles zawsze wiedział co robi. Poczucie harmonji, umiaru artystycznego i świetne opanowanie środków technicznych nie opuszcza go nigdy. Chór staje się tylko niby głosem sumienia — na jego tle po raz pierwszy na scenie ukazują się charakterystyczne. Dzieło Sofoklesa jest szczytem antycznej poezji dramatycznej. Ani przed nim, ani po nim nikt nie osiągnął takich głębi i nikt nie wspiął się na takie wyżyny piękna. Psychologia Sofoklesa jest dowodem, jak świetnie ten wielki poeta znał wiekuiste siły, która rządzi naszym rozumem i sercem.

Wystawiana obecnie w Teatrze Narodowym tragedia „Edyp Król”, której „premjera” odbyła się w Atenach w roku 431 p. Chrystusem, nie zyskała za życia Sofoklesa takiego poklasku jak inne jego dzieła. Zato po śmierci wielkiego tragika uchodzić zaczęła za jedno z jego dzieł najpotężniejszych. Za takie uważana jest i dzisiaj.

„Edyp Król” jest może jedną z najbardziej wstrząsających tragedij losowych jakie zna literatura światowa. Edyp właściwie przecież jest niewinny, nie wie bowiem, że jest zabójcą własnego ojca i mężem własnej matki. Lecz poszlaki się mnożą. Edyp nie wierzy im z początku i całą potęgą swej władczej natury broni się od uwierzenia w zbrodnię tak straszliwą. Ale podobnie jak ryba schwytana w sieci im więcej się rzuca tem coraz silniej się wikała, tak i walczący Edyp im bardziej ufa w możliwość jakiegoś wyzwolenia, tem więcej upada pod brzemieniem rzeczywistości, pod naciskiem prawdy, wobec której człowiek jest niczem. Wprawdzie Jokasta i Edyp są niewinni, jednakże moralna równowaga świata została zachwiana i musi być pomszczona. Los zwycięzca człowieka. Jokasta ginie śmiercią samobójczą, zaś Edyp straszniejszą jeszcze wymierza sobie karę: własnoręcznie wyłupia sobie oczy, porzuca dzieci, dom, ojczyznę i z własnej woli idzie na wygnanie na odludną skałę Cyteronu, na której kiedyś miał zginąć z wyroku własnego ojca.

Groza konieczności unosi się nad „Edypem Królem” przez cały ciąg akcji. I dlatego tem tragiczniej się zarysowuje na tle tej nieubłaganej działalności Ananke postać samego Edypa. Postać potężna, a szlachetna, która nie chce używać wykrętu i kłamstwa, nie chce oszukiwać i ukrywać się przed losem, ale z całą siłą swej czynnej natury poszukuje prawdy, idzie śmiało na spotkanie nieszczęścia i sama, zgodnie z nieśmiertelną zasadą wszechsprawiedliwości wymierza sobie okropną karę. Konflikt woli ludzkiej i losu, ten odwieczny, podstawowy węzeł wszelkich tragicznych zawiązków, nigdzie chyba tak silnie i jasno nie został nam ukazany, jak w tej właśnie sofoklesowej tragedji.

Przedstawienie „Edypa Króla” w Teatrze Narodowym należy do najlepszych w historii tej sceny, to zawdzięczamy wielu czynnikom: przedewszystkiem sam utwór, rzeczywiście wielki, przemawia do nas głębią swego tragizmu. Następnie, bardzo szczęśliwa reżyserja p. Zelwerowicza, który tym razem jedynie współdziałał z tekstem. Chóry pana Zelwerowicza nie osiągnęły jeszcze ostatecznej doskonałości, były jednak silne w wyrazie i dobrze zgrane. Podkreślić też należy dobry pomysł reżyserski: akcja odbywa się na tle długiemu szeregu schodów i kolumnady pałacu królewskiego. Pożądanem może byłoby pewne ograniczenie i złagodzenie efektów świetlnych, które miast potęgować wrażenie rozpraszały uwagę widza.

Do uświetnienia widowiska przyczynił się w pierwszym rzędzie pan Józef Węgrzyn, który jeszcze raz dowiódł nam wielkości

swego talentu. W roli Edypa wznosił się Węgrzyn na wyżyny prawdziwego i potężnego tragizmu.

Jokasta natomiast nie leży w granicach talentu p. Broniszównej. Może wrażenie to wywołuje kontrast fjej głosu z głosem Węgrzyna.

Z. P.

KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCJI

Zdzisław Dębicki w najnowszej swej książce p. t. „Z Północy i Południa” daje szereg ciekawych i pouczających relacyj z podróży po najmniej może u nas (z jednym wyjątkiem) znanych krajach Europy. Dzieląc się z czytelnikami swymi wrażeniami z peregrynacji po Finlandji, Włoszech, Szwecji, Rumunji i Turcji, autor główny nacisk kładzie na to, co najbardziej kształci w podróży, na kulturę danego kraju. Interesujące listy Dębickiego ubrane są, jak zawsze w formę wykwiutną i pełną prostoty (Nakład Gebethnera i Wolffa. Cena zł. 5.50).

Powieść Ferdynanda Goetla p. t. „Z dnia na dzień” jest zdarzeniem naprawdę niecodziennym w czasach, gdy błyskotliwość stylu pokrywa pustkę treści. Słusznie pisze jeden z krytyków, iż „każdy, kto ją przeczytał, poczuł z pewnością, że autor wyszarpnął ją z dna serca właśnie jemu; że on, zwykły śmiertelnik, gdyby „umiał pisać”, tak właśnieby ją napisał”. „Z dnia na dzień” posiada ciekawą, a oryginalną kompozycję: na marginesie powieści, osnutej na tle romansu jeńca wojennego, Polaka (z przesłicznym typem kresowej, polskiej panny, Marusi), — pisany jest pamiętnik literata, przyczem autor utożsamia się niejako z piszącym pamiętnik, bohaterem powieści (Nakład Gebethnera i Wolffa. Cena zł. 5.50).

Niedawno ukazał się przewodnik po polskich brzegach Bałtyku pióra Stanisława Karczewskiego, znanego i cenionego geologa i pedagoga. Książka zatytułowana „Brzegiem Bałtyku”, w części ogólnej zawiera dzieje geologiczne wybrzeża i wiadomości o jego materiale skalnym; w drugiej zaś, szczegółowej, autor oprowadza czytelnika po wybrzeżu krok za krokiem, ucząc go obserwować. Przewodnik obejmuje poza tem mnóstwo materiału ilustracyjnego i dokładną bibliografię przedmiotu, i śmiało rzec można, jest niezbędnym dla każdego miłośnika naszych brzegów morskich. (Nakład Gebethnera i Wolffa. Cena zł. 4.50)

Jednocześnie prawie ze śmiercią śp. Władysława Mickiewicza zbiegło się wydanie I-go tomu Jego „Pamiętników”. Tom ten obejmuje lata 1838 — 1861, zawiera prócz mnóstwa wiadomości, dotyczących rodziny Adama Mickiewicza, sylwetę całej plejady takich znakomitości, jak Michelet, Quinet, Lamartine, państwo de Circourt, Chateaubriand, Garibaldi, Kraszewski, Towiański, Sadyk-Pasza, Ludwika Śniadecka i wielu, wielu innych na tle nieprzebranego zasobu anegdot. Wielki dar opowiadania, przy całej prostocie autora, gorąca wiara w przyszłość Polski i zwycięstwo sprawiedliwości, czynią z „Pamiętników” lekturę godną zalecenia każdemu Polakowi. (Nakład Gebethnera i Wolffa. Cena zł. 12).

Ukazał się obecnie tom VIII „Pism” Elizy Orzeszkowej (pod redakcją Aurelega Drogoszewskiego), obejmujący arcydzieło wielkiej powieściopisarki, powieść p. t. „Meir Ezofowicz”. (Wyd. 2. Nakład Gebethnera i Wolffa. Cena zł. 5).

W „Bibliotecze Uniwersytetów Ludowych i Młodzieży Szkolnej” wyszedł tomik 22-gi, zawierający dwie przesłiczne nowelki Klemensa Junoszy (Szaniawskiego) „Łaciarz” i „Froim” (Nakład Gebethnera i Wolffa. Cena gr. 60).

Niedawno ukazał się zeszyt piąty (część V) „Nowego podręcznika do nauki muzyki w szkołach ogólnokształcących” Tadeusza Joteyki. Zeszyt ten stanowi początek drugiego okresu nauczania, a obejmuje rozdziały o estetyce i sztukach pięknych, o zasadniczych elementach muzyki, o rozwoju systemów dźwiękowych, o harmonji i polifonji, wreszcie o tańcach i pieśniach ludowych. Podręcznik ten cechuje umiętny pod względem metodycznym rozkład materiału na poszczególne lekcje poglądowe wraz z praktycznymi zajęciami. (Nakład Gebethnera i Wolffa. Cena zł. 2.40).

Część czwarta „Polskiego śpiewnika szkolnego”, zbioru ćwiczeń i pieśni wraz z teorią, w opracowaniu znanego pedagoga i muzyka, Piotra Maszyńskiego, obejmuje 24 piosenek z nutami w łatwym układzie, czyniącym z tej książki pomoc szkolną wprost niezbędną. (Nakład Gebethnera i Wolffa. Cena zł. 1.)

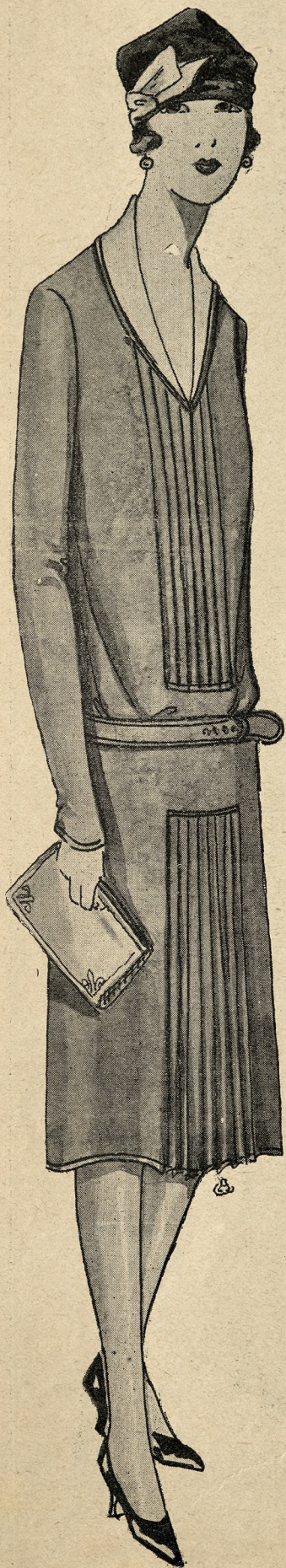
MODY I ROBOTY



1042

1043

1044



1045



1046



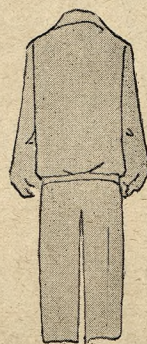
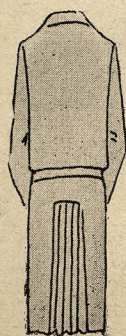
1047



1048



1049





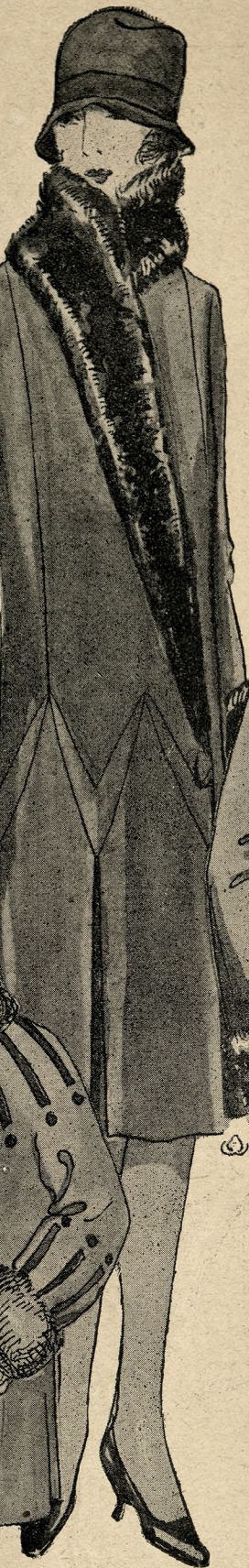
1050



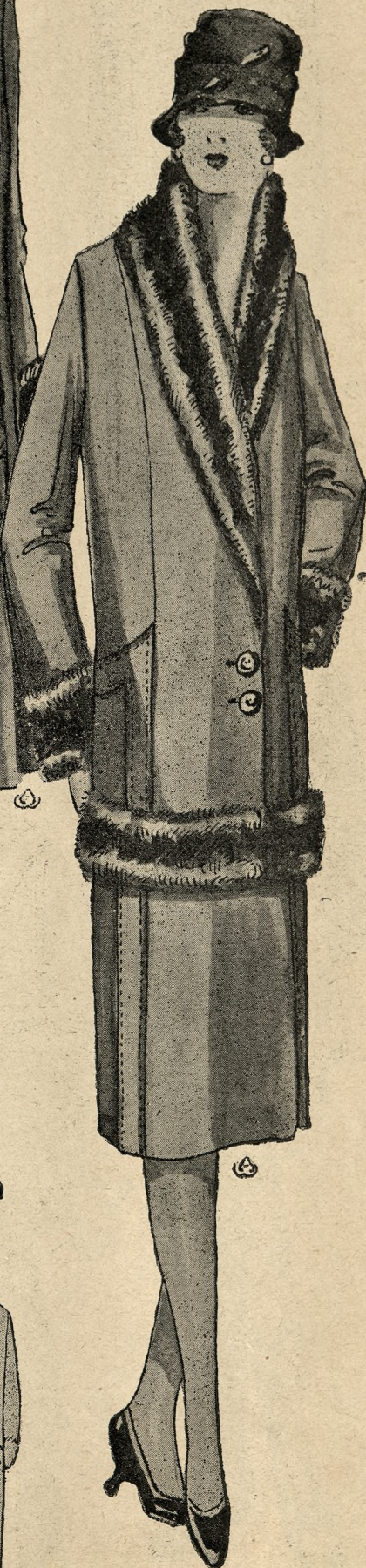
1051



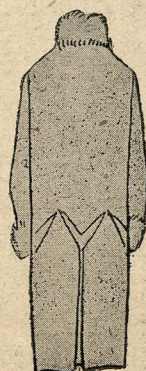
1052

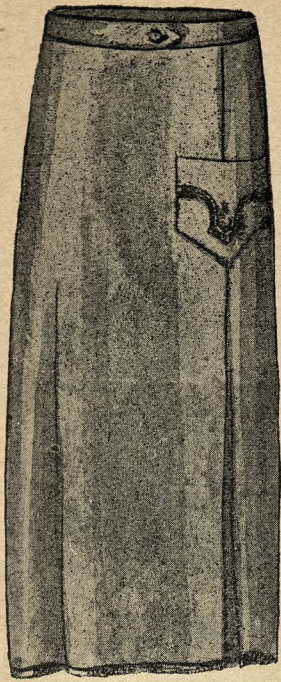


1053

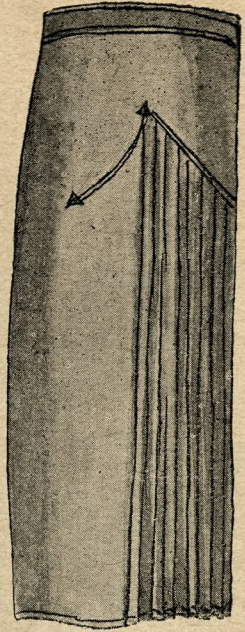
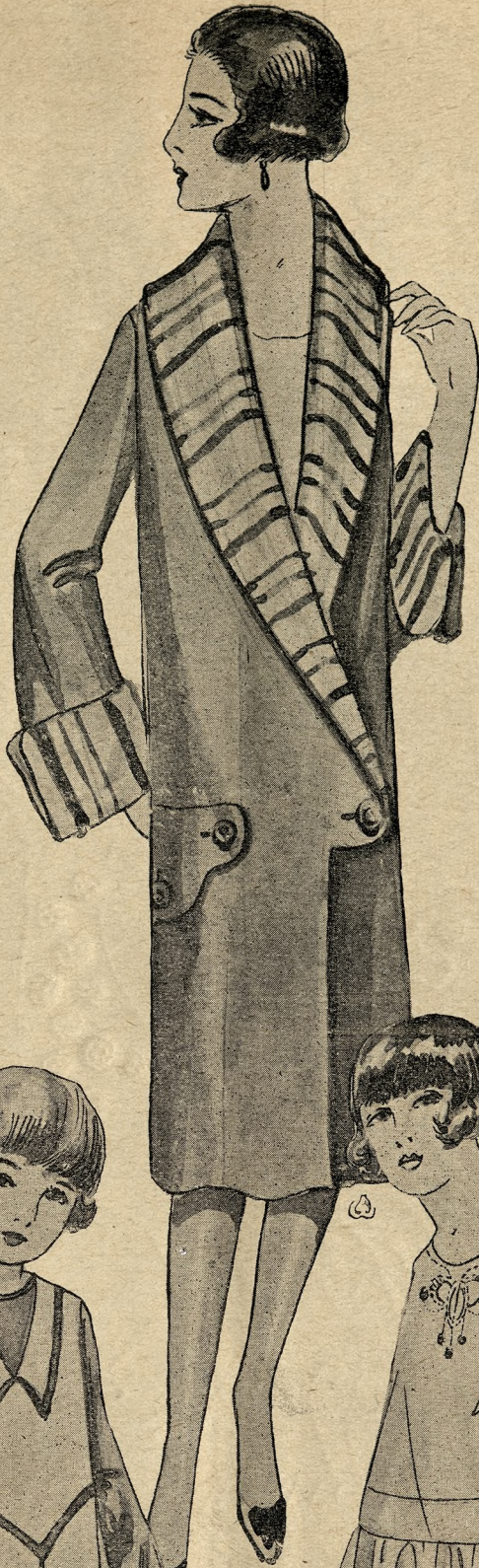


1054

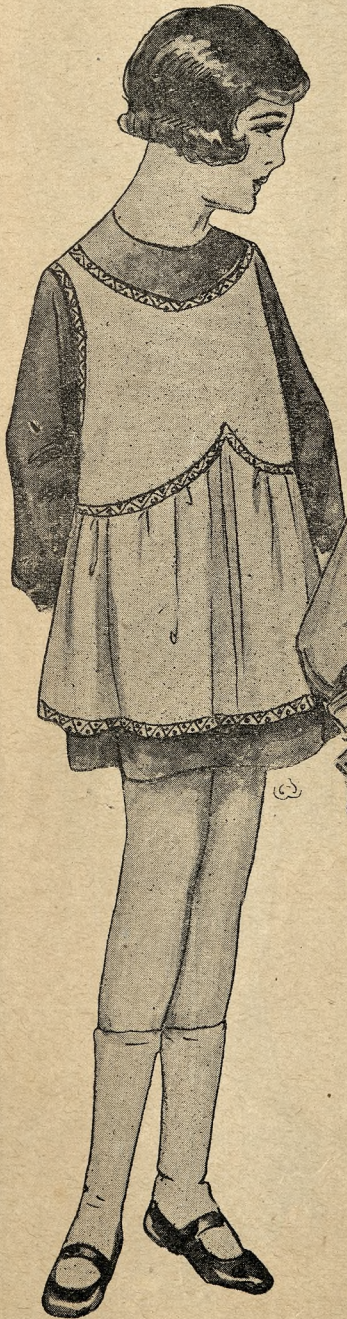




1055



1061



1056



1057

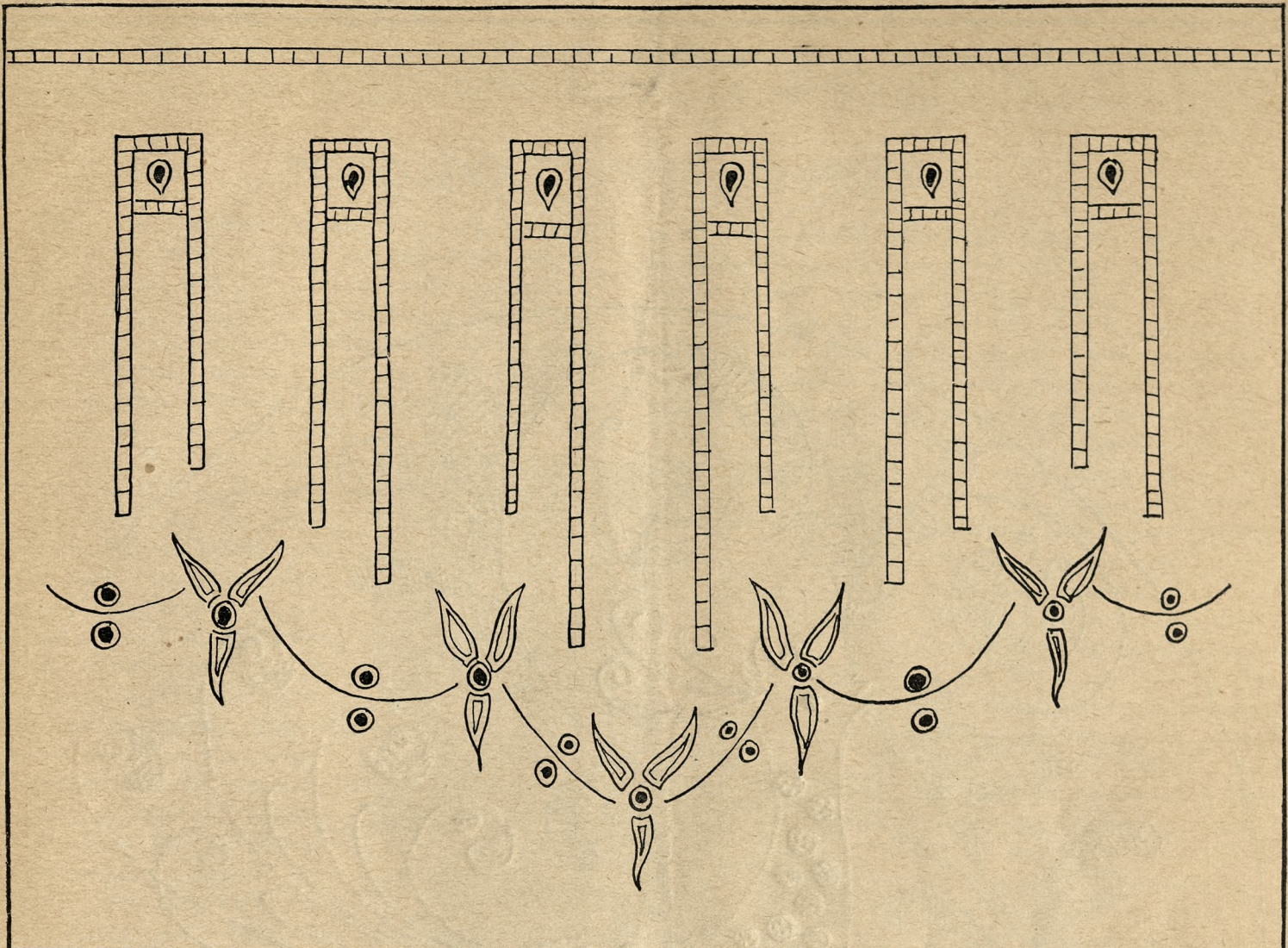


1059



1060

1058





PODRÓŻNA TECZKA DO PISANIA

Łatwa do zrobienia teczka w formie pularesu (rys. 1) służyć może nie tylko do osobistego użytku w podróży, ale i jako ładny niezwykły podarunek, wykonany z jedwabiu, mory, adamaszku, a nawet z ładnego drukowanego kretonu. Składa się ona z dwóch kieszeni, jedna na koperty, druga na papier listowy, na który zakładamy bibułę. Na pierwszej zaś umieszczamy niewielkie kieszonki na znaczki pocztowe po dwóch stronach kłapek przytrzymujących ołówek i wieczne pióro. Materiał użyty na teczkę, powinien być dosyć odporny, mocny ale nie gruby tak samo na wierzchu jak i na podszewkę, na którą można użyć podobnego lub i zupełnie odmiennego materiału. Cztery arkusze sztywnego ale giętkiego brystolu odpowiedniej miary, oblepić paskami batystu bawełnianego nie zakładając ale wycinając na rogach. Na wierzchu i pod podszewkę potrzeba dwóch pasów materiału ukrajanych podług rozmiarów wskazanych na wzorze (rys. 2) z nadaniem 6 milimetrów na szwy. Wierzchnia strona, odpowiadająca miejscu, gdzie na płaskiej kieszeni umieścimy bibułę (rys. 3), a przeznaczona na papier listowy — jest wycięta. Z tego kawałka robimy kieszonki na znaczki do listów i kłapki, do zakładania przyborów do pisania rys. 5 i 6.

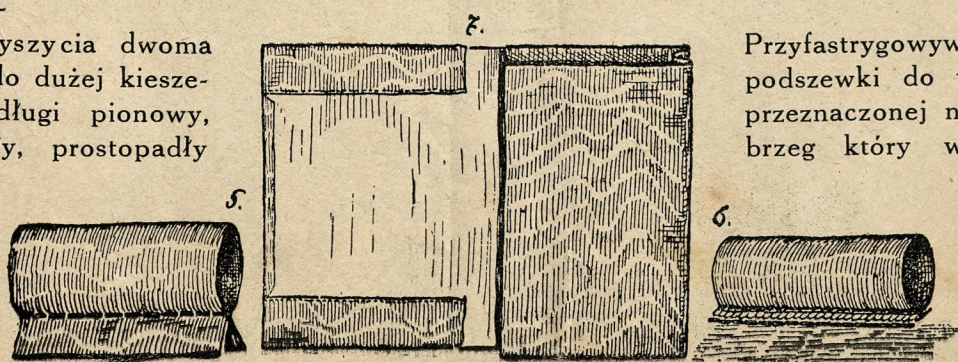
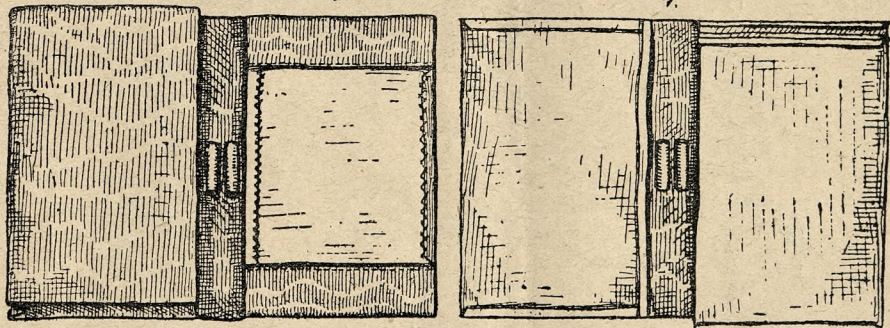
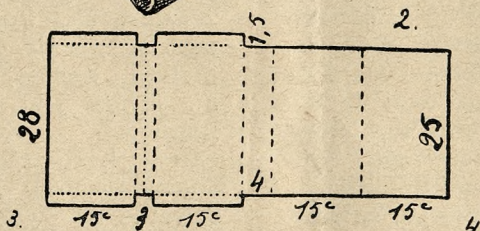
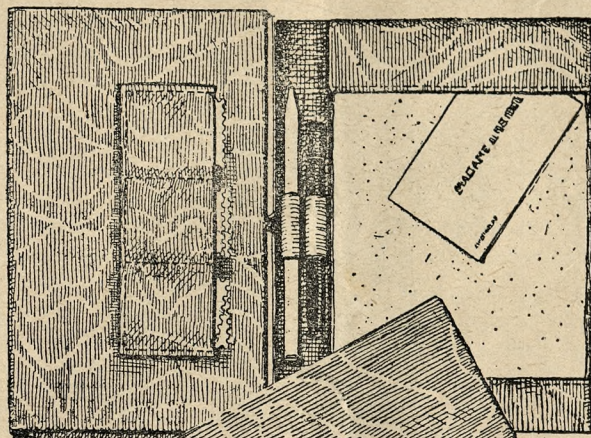
Przypatrzmy się przygotowaniu i połączeniu obydwóch części teczki (rys. 7), to jest wierzchu i spodu (rys. 3 i 4). Mieszki, którym zaprasowaniem żelazkiem nadajemy ruch odpowiedni, umieszczamy w środku. Zaczynamy robotę od przyszywania dwoma szwami mieszków do dużej kieszeni — jeden szew długi pionowy, drugi u dołu mały, prostopadły do poprzedniego, następnie zeszywa się dwa boki drugiej kieszeni. 2 kłapki środkowe przygotowuje się

z dwóch kawałków materiału zeszytego podwójnie, mającego 5 cm. szerokości a 3 długości, tę ostatnią jednak lepiej oznaczyć podług grubości przyborów. W środku wysokości teczki przecina się podszewkę odpowiednio do długości kłapek, które umieszcza się po obydwóch stronach wnętrza teczki. Kłapki muszą być dobrze dopasowane, aby wkładane w nie przedmioty, ołówek i wieczne pióro swobodnie wsuwane, nie wylatywały, jednak po podłożeniu kłapek w nacięcia zakłada się jego brzegi na lewo i umocowuje je bardzo mocno, z obydwóch stron krytymi ścięgami. Tak jak w podszewce tak i w wierzchu łączy się obie kieszenie: jedną bocznymi szwami mieszków, drugą tylko bocznymi szwami.

Kieszenie robi się o kilka mil. większe jak z podszewki co pozwala bardzo łatwo wprowadzić je. Wycięcie kieszeni płaskiej zmniejsza ją do dwóch pasów szerokich na 4 cm. Zanim je się połączy, stembnuje się ich brzegi i zakłada na podszewkę.

Przed złączeniem trzeba również będzie umocować kieszonki na znaczki zrobione z paska materiału 8 na 10 cm. złożonego podwójnie i przystembnowanego z trzech stron, a następnie rozdzielonego na równe podziałki dwoma stembnówkami. Po zostanie już tylko wsunąć podszewkę umocowaną kilkoma kropkami bardzo gęstego kleju do 3 kartek brystolu z których dwie umieścimy z każdej strony dużej kieszeni, a jedną po stronie przeciwnej od zewnętrznej strony.

Przyfastrygowuje się wolne brzegi podszewki do wierzchu od strony przeznaczony na bibułę, zakładając brzeg który wykończamy ozdobnym ścięciem. Czwarty arkusik brystolu rozmiarów bibuły, umieszczamy pod nią,



ŻAKIECIKI I KAMIZELKI

Nie wiem na czym to polega, że w warszawskich mieszkaniach jest stale zimno, czasem piec „nie ciągnie“ (wyrażenie techniczne, którego istoty żadna słuchająca nie umiała mi nigdy gruntownie wyjaśnić), czasem okna nie zostały dość szczelnie zaopatrzone, to znowu zachodzą niedokładności w budowie ścian, mieszkanie znajduje się na zbyt wysokim lub przeciwnie zbyt niskim piętrze, dość, że jest zimno. Nie mam bynajmniej zamiaru wprowadzić jakichś reform budowlanych, gdyż nie mam o tych rzeczach pojęcia, chcę po prostu podkreślić potrzebę posiadania jednego lub kilku ubranek, któreby kompletowały suknię, czyniąc ją cieplejszą. Najpraktyczniejszym typem takiego ubranka jest nasz stary przyjaciel sweater. Mamy nawet w tym sezonie na rynku warszawskim bardzo ładne i pomysłowe nowe desenie sweaterów. Niestety z Paryża idzie groźne i bezapelacyjne hasło: on en a assez vu, dość już mamy sweaterów. Mam nadzieję, że szereg kobiet rozsądnych nie rozstanie się tak łatwo z przytulnymi, ciepłymi sweaterami, które są estetyczne, twarzowe i zwłaszcza przy pracy w lokalach biurowych, gdzie są przeciągi, wprost nie do zastąpienia.

Dla tych co lubią nowości opiszę parę nowych modeli: petites vestes (czyli żakiecików), którymi paryzanki obecnie zastępują sweater. Przedewszystkiem wielkiem powodzeniem cieszą się żakieciki z miękkiego aksamitu, podbite jedwabiem, ścięte i zaokrąglone z przodu, lekko wydłużone z tyłu. Przy sukniach w kolorze ciemnym, ładne będą barwy ponsowa, szafirowa, zielona. Wykończenie kołnierza i mankietów miękkim puszystym futrem dodaje tym ubrankom wdzięku i przytulności. Ogólna tendencja wielkich firm paryskich zwalczania przesadnego typu garconne'y, odbija się i na tego rodzaju ubrankach. Są one miękkie w linji, pastelowe w kolorze, zalotne w kroju i par excellence kobiece. Bardzo modną, jako zarzutka teatralna, narzucana na nagie w wieczorowej sukni ramiona jest veste z czarnego jedwabiu, zdobna w chińskie lub japońskie hafty, złote lub kolorowe. Tu fantazja jest nieograniczona:

Złociste smoki, ptaki olbrzymie kwiaty zdobią takie krótkie okrycia, które i krojem przypominają chińskie bluzy. Często taka vesta niema rękawów, wtedy staje się podobna do tego, co zwykliśmy nazywać kamizelką.

Widziałam przepiękny model od Patou z czarnego velour frisolé, inkrustowanego złotą lamą. Suknia okrągło wycięta i bez rękawów prawie obcisłała figurę i była lekko przymarszczona na biodrach. Toaletę kompletowała krótka „veste“ bez rękawów z oryginalnej złotej koronki, w symetryczny siatkowy deseń, ujętej w szerokie ramy z czarnego velours frisolé.

Ta suknia bez veste'y mogła służyć na użytek wieczorowy, z kamizelką na popołudniowy. Inny, również bardzo piękny model od Lanvin, był z drobno plisowanej georgette'y rose fannée i miał głęboko wyciętą kamizelkę z aksamitu, w tym samym odcieniu haftowaną perłami.

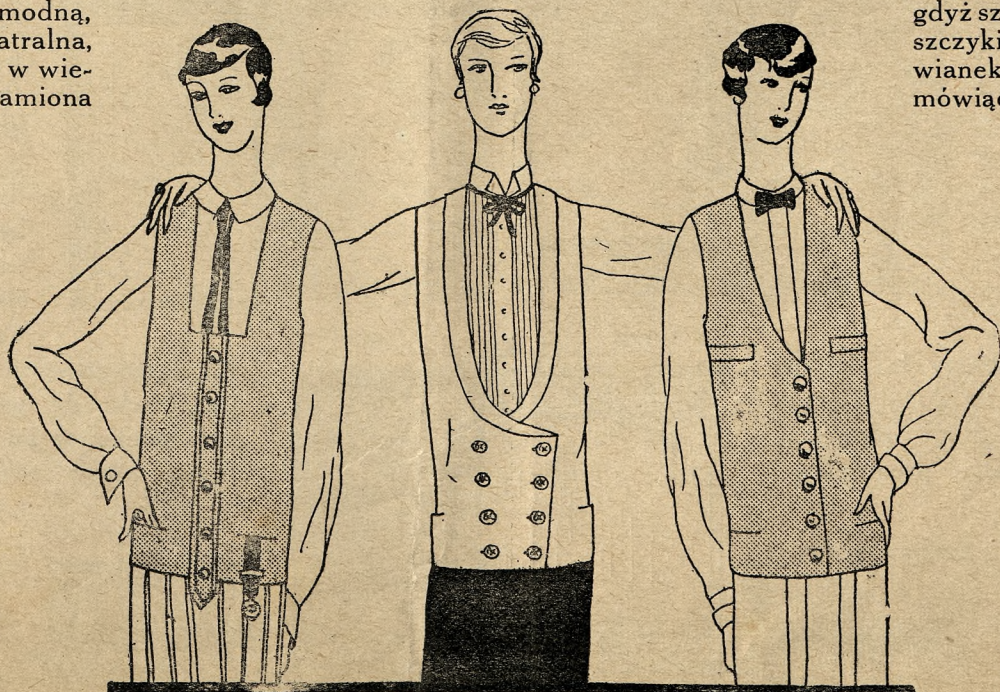
Oczywiście oba powyżej opisane modele pozostaną dla większości z nas w sferze marzeń. Ale ładną kamizelkę dobraną do sukni przy odrobinie pomysłowości i dobrej woli, może sobie każda z nas sprokurować. Kawałki jedwabiu, aksamitu lub sukna dające się wybrać ze starej sukni, barwna resztką kupiona za bezcen na wyprzedaży, obrzynki futra, staroświeckie klamki i guziki dadzą się tu dosko-

nale użytkować. Zarówno wszelkiego rodzaju hafty, jak malowania na materiałach znajdują tu szczęśliwe zastosowanie.

Jeżeli jest w mieszkaniu bardzo zimno, można nosić razem i kamizelkę i żakiecik. Należy tylko pamiętać o tem, żeby kolory się wzajemnie uwydatniały. Np. jasna kamizelka — żakiecik ciemny, albo kamizelka pstra, haftowana, żakiet jednokolorowy. Nieraz zeszłoroczny kostjum na ulicę kończy swój żywot, jako suknia do domu. Bardzo ładnego ożywi i skompletuje wesoła, barwna plama jaskrawej kamizelki. Dużo jest ładnych i niedrogich kamizelek trykotowych z wełny przetykanej jedwabiem. Przy całym kostjumie z trykotu (bardzo ciepłe, ładne i praktyczne) kamizelka również znajdzie zastosowanie i uczyni go jeszcze cieplejszym. Szczegół nie

do pogardzenia i na ulicy, gdyż szykowne zimowe płaszczyki uroczych warszawianek zazwyczaj bywają, mówiąc po kresowemu,

„wiatrem podszyte“. A wiesz Czy telniczko, dlaczego tak się rozpisalam o sposobach ciepłego ubierania? Bo sama w tej chwili okrutnie marznę, więc obmyślałam dla siebie sposoby uczynienia zimna w mieszkaniu mniej dokuczliwym i zaprzagnęłam się niemi podzielić z Tobą. Uczyni innemu co Tobie miło. Czyż nie dobra ze mnie chrzciejanka? Well.



POLSKA WSPÓŁCZESNA

USTRÓJ WŁADZ PAŃSTWOWYCH W POLSCE

Konstytucja Rzeczypospolitej Polskiej stanowi iż organami Narodu są: w zakresie władzy wykonawczej — Prezydent Rzeczypospolitej wraz z odpowiedzialnymi ministrami, w zakresie ustawodawstwa — Sejm i Senat, a w zakresie wymiaru sprawiedliwości — niezawisłe sądy. Każdy z tych organów posiada aparat administracyjny, przy pomocy którego wykonuje powierzony mu zakres władzy. O organizacji Sejmu i Senatu i wzajemnym ich ustosunkowaniu się pisałem w artykułach o konstytucji — Wspomnę tylko o Sejmie Śląskim, który, na zasadzie ustawy o autonomii Województwa Śląskiego, sprawuje część kompetencji ustawodawczych na obszarze tego Województwa a także przypomnę o Najwyższej Izbie Kontroli Państwa, która, jak to czytelnikom wiadomo z Konstytucji, ma za zadanie badanie zamknięć rachunków państwowych i prowadzenie kontroli nad wydatkami administracji państwowej. Obok Najwyższej Izby, która kontroluje rachunkowość i wydatki Ministerstw, istnieje siem Okręgowych Izb Kontroli, które kontrolują wydatki władz lokalnych. Organa wymiaru sprawiedliwości zorganizowane są w ten sposób, iż dopuszczają odwoływanie się od niższej instytucji sądowej do wyższej, — co nie wpływa jednak na niezawisłość orzekania sądów niższych instytucji. — Na czele hierarchji sądowej stoi Sąd Najwyższy, złożony z izb, w których rozpatrywane są sprawy powstałe w sądach niższych instancji, zależnie od obszaru administracyjnego i obowiązujących na tym obszarze praw. Zgodnie z najistotniejszymi różnicami prawnymi panującymi jeszcze, niestety, w Polsce jako skutek zaborów, Sąd Najwyższy dzieli się na 4 izby. — I-a i II-ga rozpatrują sprawy sądowe powstałe na obszarze b. zab. rosyjskiego, (I-a cywilne i II-ga karne), III-a na obszarze b. zaboru austriackiego, a 4-ta na obszarze b. zaboru pruskiego. Sąd Najwyższy jest instancją kasacyjną, co oznacza, iż nie feruje on wyroków merytorycznych, a tylko ma władzę znoszenia wyroków zapadłych w niższej instancji i przekazania spraw do powtórnego rozsądzenia.

Drugi stopień sądownictwa stanowią Sądy Apelacyjne. Jest ich osiem; 3-y — w Warszawie w Wilnie i w Lublinie, rozstrzygają w najwyższej instancji sprawy wynikłe na obszarze b. zaboru rosyjskiego, 3-y: w Poznaniu, Toruniu i Katowicach — sprawy powstałe w b. zab. pruskim i dwa: w Krakowie i we Lwowie, rozstrzygające sprawy pochodzące z b. zaboru austriackiego.

Sądami orzekającymi w I-iej instancji a zarazem apelacyjnymi w stosunku do sądów Pokoju są Sądy Okręgowe, których w całej Polsce jest pięćdziesiąt jeden, w każdym okręgu apelacyjnym jest takich sądów od 4-ch do 15-tu.

Sądami najniższej instancji są sądy pokoju (nazywane w b. zab. austriackim i pruskim Sądami powiatowymi), których w całej Polsce jest 700, a których poszczególne okręgi sądowe liczą od 4-ch do 53-ch. Sądy pokoju sprawują wymiar sprawiedliwości w zakresie spraw drobniejszych i posiadają określoną właściwość terytorjalną. Ponadto, organami wymiaru sprawiedliwości są jeszcze sędziowie śledczy, do zadań których należy prowadzenie dochodzenia w sprawach karnych i których konystencje terytorjalne obejmują przeważnie jeden powiat. Sądy posiadając całkowitą niezawisłość w zakresie wymiaru sprawiedliwości, zagwarantowaną przywilejami stanu

sędziowskiego, są uzależnione pod względem administracyjnym i gospodarczym od Ministra Sprawiedliwości — stąd często spotykane w Polsce niezrozumienie rzeczy i uważanie Ministra Sprawiedliwości za najwyższą instancję sądową.

Oczywiście najbardziej rozbudowany i najróżnorodniejszy aparat administracyjny posiada władza wykonawcza. Na czele jej stoi Prezydent Rzeczypospolitej, którego kompetencję omówiłem już, pisząc o Konstytucji. Prezydentowi Rzeczypospolitej podlega bezpośrednio 12-u ministrów i przewodniczący Radzie Ministrów — Prezes Rady Ministrów. Stosunek Prezesa Rady Ministrów do Ministrów nie ma charakteru zwierzchnictwa — po za atrybucjami przewodnictwa w Radzie i po za kompetencjami z zakresu ogólnego kierownictwa Rządem i ogólnej polityki Państwa. Natomiast uchwały Rady Ministrów są dla poszczególnych ministrów wiążącymi.

Każdy minister wykonywa swoje kompetencje przy pomocy urzędów nazywanych ministerstwami. Ministerstw takich, zarówno jak ministrów, jest 12-e — a mianowicie; Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, Ministerstwo Spraw Zagranicznych, Ministerstwo Spraw Wojskowych, Ministerstwo Skarbu, Ministerstwo Sprawiedliwości, Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, Ministerstwo Rolnictwa i Dóbr Państwowych, Ministerstwo Przemysłu i Handlu, Ministerstwo Robót Publicznych, Ministerstwo Komunikacji, Ministerstwo Pracy i Opieki Społecznej i Ministerstwo Reform Rolnych. Prezes Rady Ministrów ministerstwa nie posiada, a do pomocy przy wykonywaniu swoich zadań używa biura Prezesa Rady Ministrów, nazywanego również niekiedy „Prezydium Rady Ministrów“. Niektóre kompetencje Ministrowie wykonywają przy pomocy urzędów niewchodzących w skład ministerstw, lecz podległych bezpośrednio danemu Ministrowi. Organami Ministerstw i Urzędów Centralnych na prowincji są urzędy prowincjonalne. Urzędy prowincjonalne nazywamy w praktyce urzędami I-iej instancji, jeżeli pomiędzy nimi a właściwym ministerstwem, które przyjęto uważać za instancję III-ą, jest jeszcze jedna instancja pośrednia. Urzędy prowincjonalne, które podlegają bezpośrednio ministerstwom nazywa się zwykle urzędami II-iej inst. bez względu na to, czy posiadają władze podległe czy nie. Ta nomenklatura nie jest szczęśliwa i często może wydawać się nielogiczną, zwłaszcza przy zestawieniu z trybem orzeczeń władz i odwołań od tych orzeczeń gdy często ministerstwo decyduje „w II instancji“ a władza t. zw. II instancji orzeka „w I instancji“. Wobec jednak niejednolitego podziału administracyjnego w rozmaitych dziedzinach administracji, trudno jest je zastąpić te utarte nazwy, a zwłaszcza nie można je zastąpić pozornie najwłaściwszymi t. j.: „władza Wojewódzka“ i „władza powiatowa“.

Przechodzimy obecnie do szczegółowej organizacji władz administracyjnych w zakresie kompetencji każdego z ministrów.

Do właściwości Prezesa Rady Ministrów należy, jak wspominałem, ogólne kierownictwo Rządem i polityka ogólna Państwa Oprócz tego Prezydent jest zwierzchnikiem kilku podległych mu urzędów centralnych noszących częściowo charakter przedsiębiorstw państwowych, a mianowicie: Polskiej Agencji Telegraficznej, Drukarni Państwowych i Monitora Polskiego.



Nadto, przy Prezesie Rady Ministrów istnieją: Najwyższy Trybunał Administracyjny, który ma za zadanie orzekanie o legalności orzeczeń władz administracyjnych, samorządowych wydanych w ostatniej instancji i Najwyższa Komisja Dyscyplinarna, sądząca jako odwoławcza sprawy dyscyplinarne urzędników państwowych.

Do właściwości ministra Spraw Wewnętrznych należą sprawy ogólnego zarządu krajem, dozoru nad samorządem lokalnym, sprawy policji, sprawy bezpieczeństwa, sprawy służby zdrowia, sprawy statystyki administracyjnej, a także sprawy natury zewnętrznej niezastrzeżone dla innych ministerstw.—Minister Spraw Wewnętrznych wykonywuje swe kompetencje przy pomocy Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i nie wchodzących w skład ministerstwa: Głównego Urzędu Statystycznego (statystyka administracyjna), Głównej Komendy Policji (kierownictwo korpusu policyjnego, zaopatrzenie i wyszkolenie policji), i Dowództwo Korpusu Ochrony Pogranicza (ochrona pogranicza na wschodzie) Nadto bezpośrednio Ministrowi Spraw Wewnętrznych podlega Urząd do Spraw mniejszości w Katowicach, który ma za zadanie ochronę specjalnych praw mniejszości narodowych na Górnym Ślązku, przyznanych polsko-niemiecką konwencją genewską. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych składa się z 5-ciu departamentów, Organizacyjnego, Politycznego, Administracyjnego, Samorządowego i Służby Zdrowia. Organami prowincjonalnymi ministra są w Województwach Wojewodowie, a w Powiatach Starostowie. Wojewodowie i Starostowie sprawują na powierzonych im obszarach władzę z ramienia Rządu Rzeczypospolitej.

Do ich kompetencji należy, oprócz spraw wewnętrznych, także cały zakres pozostałych spraw państwowych, za wyjątkiem spraw zastrzeżonych innym



urzędem. Niestety, urzędów wyodrębnionych z pod władzy Wojewody i Starosty jest w Polsce b. wiele co przeczy zasadzie zespolenia ustanowionej przez konstytucję i utrudnia obywatelom załatwianie spraw w urzędach. Wojewodów (i województw) jest w Polsce szesnaście i nienależący do żadnego Województwa Okręg m. st. Warszawy, w którym funkcje Wojewody, a zarazem funkcje starosty, pełni Komisarz Rządu. Województwa miałem sposobność parokrotnie wyliczyć w poprzednich artykułach. Powiatów (a zatem i starostów) jest w Polsce ogółem 274, przyczem szereg miast nie wchodzi w skład powiatów i tworzy pod względem administracyjnym osobne miasta-powiaty. Takich miast jest 11, wyliczyłem je, pisząc w jednym z poprzednich numerów „Bluszczu“ o „podziale administracyjnym Polski“. W miastach wydzielonych władzę rządową w zakresie spraw wewnętrznych sprawują bądź prezydenci miast, bądź Komisarze Rządowi. Wojewodowie wykonywują swe kompetencje przy pomocy Urzędu Wojewódzkiego (niekiedy nazywanego Województwem), a starostowie przy pomocy starostwa.

Oprócz województw i starostw, organami prowincjonalnymi władz centralnych podległych Ministrowi Spraw Wewnętrznych są: Komendy Wojewódzkie Policji, znajdujące się na obszarze każdego województwa i mające za zadanie kierownictwo policją w województwie, komendy powiatowe policji, istniejące w powiatach, kierujące policją w powiecie i wykonywujące zadania włożone na policję przy pomocy komisarjatów i posterunków policyjnych, oraz oddziały ochrony pogranicza, strzegące granicy państwowej na wschodzie i północno-wschodzie Rzplitej. Wreszcie, częściowo spełniają zadanie pouczone z zakresu administracji spraw wewnętrznych, zarządy gmin miejskich i gmin wiejskich.

(c. d. n.)

O WNĘTRZACH MIESZKANIOWYCH

E M P I R E

W początku XIX wieku historia nasza jest zespolona, jak nigdy przedtem, z historją Francji. Karty jej dziejów są naszymi dziejami. Czy to na polu bitwy, czy w życiu salonowym jesteśmy przeniknięci Francją. To też na naszym życiu pozostały wryte niezatarte ślady ich cywilizacji, ich sztuki, tak przyswojonej, że stała się naszą.

Zacznijmy od dworu i domu miejskiego. Przecie ów, tak zwany dwór polski, z frontonem na czterech kolumnach, wysokich na piętro, gdy skrzydła są ledwie parterowe, jest niczem innym jak kopją rezydencji francuskich czasów napoleońskich, jakiegoś Compiègne na przykład. Bogatsze dwory stawiły cały dom wysoki, lecz mniej zamożni, nie potrzebujący piętrowego pałacu, budowali przynajmniej ów wysoki ganek, gdzie na górze mieściło się parę gościnnych pokoi, zaś parter wystarczał domownikom. Ten typ domostwa, od pałacu po karczmę, tak się rozplenił po ziemiach Rzeczypospolitej, tak się można powiedzieć zaaklimatyzował, przeniknął potrzebami i do nich nałamał, że uważany jest dziś za rdzennie polski, tembardziej, że dawne typy dworów drewnianych pra-

wie wyginęły w ogniu walk w końcu XVIII wieku, że dziś zaledwie kilkanaście takich pamiątek posiadamy w całym kraju. To samo miasto. Sama Warszawa ma nieskończone mnóstwo domów i domków empire, budowanych przez Coraziego i innych w początku XIX wieku. I domy te wydają się nam właśnie ogromnie rodzime, nie pamiętamy wcale skąd do nas przyszły ich pierwowzory.

Cóż mówić o wnętrzach. Posiadamy ich tyle, pomimo burz, zachowanych świetnie, prawie nietkniętych czasem, że znamy się z nimi od dzieciństwa. Któż bo niema w pamięci kantorku dziadunia z otwieraną ladą, która służyła do pisania, z brązowymi złoconemi tyrsami czy lwami na mahoniu, z ciężkim zegarem na wierzchu? Któż nie pamięta starej kanapy w salonie o złoconych gryfach, trzymających poręcze, krągłych stolików na trzech nóżkach, zakończonych lwiami łapkami? Tych ciężkich foteli, masywnych szaf? Któż niema przed oczami szeregu drobiazgów, jak zegary, rami obrazów, okładki starych książek, szkatułki do robót, tabakiery. Wielki empire Europy zleka uproszczony, przyozdobiony swoistym wdziękiem



jest nam ogromnie bliskim, jest naszym. Rzućmy chociaż pobieżnie okiem na wnętrza tej epoki. Skalę mamy dużą, od magnackiego pałacu po skromne izdebki. W pierwszym będzie przepych, mozaikowe ornamenty ścian, freski, złocenia i lustra, cenne meble, kryształ, ale jednocześnie obok tych pysznych sal balowych i reprezentacyjnych będą komnaty skromne, poważne, będą meble z ciemnego mahoni, lub czeczotki. Rysunek mebli ma w sobie coś surowego, jakiś echa rzymskiej prostoty w zbytku, ma jakąś powagę i majestat, sztywność żołnierską z dostojnym wdziękiem matrony zespoloną, jest nieśmiertelnie piękny, nigdy nie rażący, zawsze świeży i poważny. I właśnie mamy przykład owego zdemokratyzowania się sztuki, gdy te same w rysunku przedmioty stoją w pałacu i w dworku, choć ze skromniejszego materiału wykonane, biednie obite, na tle białej ściany.

Empire jest stylem zdrowym, silnym, jest konstrukcyjnym. Nie ma przeładowania ozdobami, czasem tylko zalsni jakiś bronz, lub inkrustacja. Piękno płynie z logiczności formy, z prostoty i jasności. Wieje od niego tężyzną legjonów i wdziękiem romantyzmu. W układzie wnętrza mamy jasną celowość. Pokoje mają swoje przeznaczenie, mają odpowiednie meble, mają wszystko co potrzeba i nic ponadto. Ponad oknami rozpina się białe muslinowe firanki, opuszczają je z obu stron do ziemi w lekkich festonach. Nie zabierają światła, a zmiękczają surową linię otworu okiennego, przysłaniają zlekka nadmiar słońca, bijący przez wielkie szyby do środka i nie nagromadzają kurzu, gdyż można je łatwo odświeżyć. Przesztaje się upinać nad łóżkiem kotary, jedynie rzadko z takiego muslinu jak przy oknie robi się zasłonę od much i komarów. Całe wnętrze jest tak prosto obmyślane, tak młode i jasne, że dziś może nam służyć, nie rażąc staroświeckością i nieużytecznością form, można powiedzieć, że było stworzone, aby służyło całej wieki ludzkości.

Lecz oto we Francji, dyktującej prawa elegancji i mody światu gaśnie gwiazda Napoleona. Powracają

na osierocony tron królewski dwaj starcy-księżęta i kolejno biorą berło w swoje ręce. Wygnańcy mają w pamięci świetność dawnego dworu, napróżno starają się wskrzesić pogrzebany tryb życia, nie mogą się pogodzić z myślą, że dawny świat umarł nazawsze. A potem panuje Ludwik Filip, tak zwany król mieszczkański. Restauruje się pałac wersalski, odnawia olbrzymie ruiny. Chce się owym ludziom stworzyć świetną epokę, błysnąć szykiem i wytwornością. Lecz brak genjuszów, brak wielkich talentów, brak rozmachu. Są ludzie zdolni i artyści niemałej miary, lecz brak jakiejś iskry, jakiejś wielkiej idei, pomysłu. Chcąc stworzyć sztucznie świetną erę, rzucają się rozpacznie wstecz, szukają natchnienia w rokoku i w empirze. Naśladują stare formy bez zrozumienia ducha umarłego, tworzą ciężkie i niezgrabne meble, raz złoczone, to znów mahoniowe. Brzydki, ociężałe, niepotrzebnie gną się linje, tak ślicznie wysmukłe w empirze. Powstają różne szkaradziejstwa, owe ciężkie niezdarne żyrandole, cała moc rzeczy brzydkich, niezgrabnych, obwisłych jak policzki starego Ludwika Orleańskiego.

We wnętrzach zaczyna się panoszyć mieszczański przepych, przepych dorobkiewiczów i karierowiczów. Bez potrzeby, jedynie dla pokazania swej zamożności, przeładowuje się dekoracją ściany i sufity, zawieszają się festony z materiału nad drzwiami i oknami, osłaniają się makatami suche i ciepłe ściany, napycha się moc niepotrzebnych gratów do pokoju i salonu. Osią mieszkanka nawet względnie niewielkiego staje się sala nieproporcjonalnie duża do reszty lokalu, nieużyteczna, ogromnie brzydka. Zaczyna panować hypokryzja życia na pokaz. Nie dba się o wygody i potrzeby, byle było okazale. Pożal się Boże nad tą okazałością! Są to narodziny tandety. Higiena, wygoda, użyteczność idą w kąć na długie lata. W architekturze powstają dziwolaży, domy wiejskie imitują gotyckie zamki, lub kościoły, romantyzm, lubując się w nadzwyczajnościach, pozwala na najdziwniejsze wybryki, na szpetotę i ohydy. Wielka sztuka architektury i meblarstwa toczy się gwałtownie na dół. *Zygmunt Knothe.*

ELEKTRYFIKACJA GOSPODARSTWA DOMOWEGO

Jeśli ubiegły wiek dziewiętnasty nosił nazwę „Wieku pary i elektryczności“ to ostatnie to określenie stosuje się daleko bardziej do wieku dwudziestego, w którym przemysł elektryczny doczekał się takiego rozwoju, o jakim przed kilkudziesięciu laty pierwsi pionierzy z pewnością nawet nie marzyli. Najbardziej jednak charakterystyczną cechą tego przemysłu w dobie dzisiejszej jest jego tendencja do obejmowania coraz szerszych pól, do wciskania się we wszystkie dziedziny naszego życia codziennego. Możliwość nawet za ryzykować twierdzenie, iż elektryczność, do niedawna znajdująca główne swe pole zastosowania w wielkich urządzeniach publicznych i instytucjach prowadzonych na szerszą skalę, dziś staje się coraz bardziej „wrózką domowego ogniska“, a więc i tem samym nieodstępnie towarzyszącą i pomocniczą kobiety.

U nas jeszcze mało słyhać o tem. Wojna i związany z nią kryzys ekonomiczny, a może i potrosze nasz brak inicjatywy, nasz niczem nieusprawiedliwiony konserwyzm w dziedzinie wszelkich ulepszeń i udogodnień gospodarczych — wszystko to złożyło się na fakt, że o elektryfikacji naszego gospodarstwa, zarówno

domowego jak i rolnego, niema u nas jeszcze wcale mowy. Nasza konsumpcja elektryczności w życiu prywatnem sprowadza się do oświetlenia mieszkań, i to jedynie w większych miastach, i nie we wszystkich ich dzielnicach w dodatku. W samem niemal centrum Warszawy, bez wielkiej trudności natrafić można na mieszkania oświetlone albo gazem (którego szkodliwość dla zdrowia została już dawno wykazaną) albo nawet poprostu — lampami naftowymi, jak za „dawnych, dobrych czasów“. Cóż dopiero mówić okrańcach tejże Warszawy, no i o naszych niezliczonych wsiach i miasteczkach. Dwory, oświetlone elektrycznością, należą u nas do takich unikatów, że je bodaj na palcach zliczyć można. Dodać trzeba przytem, że unikaty te są bardzo kosztowne.

Jeśli w dziedzinie oświetlenia elektrycznego taki panuje u nas zastój, to oczywiście niema co nawet wspominać o innych domowych urządzeniach elektrycznych, takich jak piecyki kuchenne, żelazka do prasowania, maszyny do prania i suszenia bielizny, etc. Można je u nas spotykać tylko wyjątkowo i to w bardzo zamożnych domach.

A tymczasem zagranicą rzeczy te stają się coraz bardziej powszednimi i wypierają z dniem każdym dawne urządzenia gospodarcze, wymagające o wiele więcej trudu i pochłaniające więcej czasu przy obchodzeniu się z nimi. Dzisiejsze warunki życia gospodarczego zagranicą, przede wszystkim brak służby domowej, zmuszają panie domu do wykonywania własnoręcznie całego szeregu robót, które u nas spychane bywają na niezbyt kompetentne barki jakiejś „Marysi do wszystkiego”. Ztąd dążenie do ułatwienia tej pracy domowej, do uczynienia jej lżejszą, bardziej skoordynowaną, wymagającą mniej czasu i sił fizycznych, powiedziałabym poprostu — inteligentniejszą. A najlepszym potem środkiem jest właśnie — elektryfikacja tej pracy.

W Anglii, przechodzącej już od dłuższego czasu ciężki kryzys w dziedzinie służby domowej, powstało przed rokiem stowarzyszenie pod nazwą „Electrical Association for Women”. Nie jest to jednak tylko zawodowy związek kobiet elektrotechników, choć stanowił on zrazu jedną z sekcji Stowarzyszenia Kobiety-Inżynierów (Women's Engineering Society). Związek ten ma jeszcze i szersze cele, niż obrona interesów zawodowych: postawił on sobie przede wszystkim zadanie szerzenia wśród kobiet angielskich haseł elektryfikacji gospodarstwa domowego, wykazywanie gospodyniom niezmiernych korzyści, płynących z zastosowania elektryczności w każdym dziale gospodarstwa kobiecego, jednym słowem — popularyzowanie elektryczności w zastosowaniu do życia codziennego.

W piśmie, wydawanym od czerwca b. r., jako organ tego związku, a noszącym znamienity tytuł: „The Electrical Age — for Women” (Wiek elektryczności — dla kobiet), czytać można bardzo ciekawe artykuły o zastosowaniu elektryczności do takich dziedzin życia gospodarczego, jak ogrodnictwo, produkcja jak i hodowla drobiu, mleczarstwo itd. Wszystkie te artykuły mają jedną olbrzymią zaletę: są pisane nie przez inżynierów-mężczyzn, którzy traktują te sprawy jedynie ze stanowiska fachowego, technicznego, w oderwaniu od życia i strony jego praktycznej, lecz przez kobiety, rozumiejące doskonale, jak się wyraża, autorka jednego z artykułów na temat zastosowania elektryczności do rolnictwa, że „suszona trawa, a siano, to nie jest wcale jedno i to samo — chociażby się tak mogło na pierwszy rzut oka zdawać niewtajemniczonym”. Przy projektowaniu, konstruowaniu i wypróbowaniu tych wszystkich aparatów brana jest pod uwagę przede wszystkim ich praktyczność, na którą składać się muszą następujące warunki: 1) możliwie najniższy koszt aparatu, celem udostępnienia go jaknajszerszym masom; 2) możliwie największa oszczędność w zużyciu prądu; 3) łatwość obchodzenia się z aparatem, aby nie wymagał on specjalnie przygotowanego technicznie personelu, lecz był dostępny nawet dla tych, co mają zupełnie prymitywne wiadomości techniczne; 4) solidność i trwałość konstrukcji, obliczona na wszelkie najniekorzystniejsze warunki, nieumiejętne obchodzenie się etc. etc. i zapewniająca przy powyższych warunkach maximum wytrzymałości.

Dopiero wtedy, gdy aparat odpowiada wszystkim tym wymaganiom, bywa on uważany za nadający się do szerszego użytku i rozpowszechniania.

Jednak pomimo tych wszystkich zastrzeżeń, powstają nowe wynalazki i ulepszenia i to we wszystkich dziedzinach życia gospodarczego. Jednym z ciekawszych jest zastosowanie elektryczności do zwiększenia nieśności kur w okresie zimowym (a więc kiedy jaja są najdroższe) przez oświetlanie elektrycznością kurników. Doświadczenia dowiodły, iż drób nie potrze-

buje zimą więcej godzin snu ponad dziesięć. Ciemność, panująca przez znacznie dłuższy przeciąg czasu w kurnikach, wpływa niekorzystnie na usposobienie i stan fizyczny drobiu, odbijając się również i na zmniejszeniu nieśności jaj. W gospodarstwach, które wprowadziły u siebie próby zastępowania światła dziennego oświetleniem elektrycznym, zaobserwowano ogólne zwiększenie się nieśności drobiu o 25%. W niektórych aparatach specjalne urządzenie zegarowe pozwala automatycznie gasić i zapalać światło o określonych z góry godzinach, dla zupełnego zaś imitowania naturalnego oświetlenia dziennego automatyczny regulator przyćmiewa stopniowo blask lampy przed zupełnym jej zgaśnięciem i rozświetla przed rozpaleniem, pozwalając przez to drobiowi przyzwyczać się do ciemności i światła.

Ogromne usługi oddają także hodowcom drobiu elektryczne wylęgarnie, w których temperatura daje się uregulować o wiele dokładniej i łatwiej, niż w inkubatorach starego typu. Wylęgarnie te są bardzo oszczędne w zużyciu elektryczności, obliczono bowiem, że jeden kilowatt wystarcza na wylęczenie 4 jaj.

Elektryczność ma bardzo wielkie zastosowanie w mleczarstwie, za jej pomocą bowiem wykonać można wszystkie bez wyjątku czynności, w zakresie tej gałęzi gospodarstwa wchodzące — począwszy od bicia masła w specjalnych kierzniach, poruszanych elektrycznością, które przy zużyciu jednego kilowatta mogą ubić w przeciągu godziny sto siedemdziesiąt pięć funtów masła, a skończywszy na dojeniu krów. Elektryczne aparaty do dojenia krów (używane zresztą już oddawna zagranicą w wielkich gospodarstwach mlecznych, szczególnie w Danii) są konstruowane w ten sposób, aby działanie ich nie było przykrem dla zwierzęcia i nie drażniło go, to też krowy poddają się podobno bardzo chętnie tej operacji, nie wykazując przytem takiego zniecierpliwienia, jakie nieraz bywa wywołanem nieostrożnem lub zbyt energicznym dojeniem ręcznym.

Bardzo ciekawe są próby zastosowania elektryczności do gospodarstwa rolnego. Pługi i inne narzędzia rolnicze, poruszane zapomocą elektryczności, znane są już zagranicą oddawna, nowe wynalazki jednak zmierzają ku rozwiązaniu innego problemu, mianowicie zastąpienia ciepła i światła słonecznego, tak niezbędnego dla zbiorów rolnych, przez światło elektryczne. Obecnie robione są doświadczenia z aparatem, zapomocą którego można zbierać i suszyć siano w dnie słotne, co oczywiście będzie mogło być przystosowane i do zbiorów zboża. Sam proces jest podobno bardzo prosty, bowiem polega na manipulacji bardzo zbliżonej do znanego zabiegu fryzjerskiego elektrycznego osuszania włosów po umyciu.

Dzięki nowym wynalazkom w dziedzinie elektryczności, wszystkie męczące i nudne zabiegi gospodarstwa folwarcznego, jako to: rznięcie siewki i przyrządzanie paszy dla inwentarza, obieranie i siekanie kartofli, parowanie buraków etc. — mogą być bardzo szybko, łatwo i oszczędnie wykonane za pomocą elektryczności.

I w dziedzinie ogrodnictwa elektryczność znajduje coraz szersze zastosowanie. Ostatnio robiono doświadczenia nad zastosowaniem do hodowli kwiatów i roślin aparatów intensywnie naświetlających, które dały rezultaty nadzwyczajne. Rośliny, poddawane działaniu takiego aparatu, rosły i rozwijały się nadzwyczaj szybko i bujnie, a kwitły znacznie obficie. Nie zauważono przytem żadnych wyników ujemnych, jakie zazwyczaj występują przy innych zabiegach intensywnej hodowli: żółknięcia i przedwczesnego opadania liści, szybszego przekwitania,

zmiany w zabarwieniu liści i kwiatów etc. Narazie jednak aparaty do intensywnego naświetlania są zbyt kosztowne, aby mogły być dostępnymi dla zwykłych hodowców — używane są one jedynie w wielkich zakładach ogrodniczych, prowadzących interes na wielką skalę.

Pszczelnictwo posługuje się elektrycznością głównie do ogrzewania ubikacyj, w których pomieszczone są ule na zimę. Podnosi to podobno wydajność miodu conajmniej o 10%.

Największą bodaj jednak rolę odgrywa w Anglii elektryczność w walce z plagą zanieczyszczenia atmosfery przez dym z kominów fabrycznych i domowych. Walka ta, prowadzona jest już od dłuższego czasu przez różne stowarzyszenia i instytucje, grupujące się w związku pod nazwą „Smoke Abatement League”, Propagatorzy idei czystego powietrza (Clean Air League) nie poprzestają na samem tylko negatywnem zwalczaniu kłęski przez wykazywanie szkodliwości dymu i pyłu węglowego zapomocą wydawnictw propagandowych, odczytów, meetingów etc. — starają się oni prócz tego pozytywnie przeciwdziałać złu, popierając wszelkimi środkami elektryfikację przemysłu fabrycznego i gospodarstwa domowego. Z ich to inicjatywy powstają w różnych miastach całe dzielnice i poszczególne domy t. zw. „bezdymne” (smokeless houses). Są te domy, w których niema wcale kominów, a wszystkie piece i paleniska ogrzewane są wyłącznie zapomocą elektryczności. Istnieją także i typy pośrednie — domy o jednym tylko palenisku węglowem, przeznaczonem na wspólny użytek wszystkich mieszkańców, w poszczególnych zaś mieszkaniach założone są elektryczne kaloryfery i takie piecyki kuchenne. Oczywiście w takich mieszkaniach wszystkie czynności gospodarcze — pranie, suszenie bielizny, prasowanie etc. — bywają wykonywane za pomocą elektryczności.

Podobno ludność garnie się bardzo chętnie do tych mieszkań, gdyż angielskie housewives (gospodynie domu) doszły do przekonania, że lepiej jest zaprząć do swej służby wróżkę-elektryczność, niż jakąś niezbyt wykwalifikowaną wiejską Kathleen, o którą zresztą jest dziś w tym kraju więcej niż trudno.

To też „Liga do walki z dymem” odwołuje się przedewszystkiem do gospodyń domu w wydawanych przez siebie odczytach i broszurach, gdzie się podkreśla, że nikt tak nie odczuwa na sobie szkodliwości i nieprzyjemnych skutków dymu węglowego, jak kobieta, na której barki spada całe szorowanie, pranie i zmywanie brudu, jaki osadza pył węglowy na wszystkich domowych przedmiotach. Szkodliwość tego pyłu dla organizmu ludzkiego i zwierzęcego, a nawet i dla życia roślinnego, jest wprost nieobliczalna. Poza to z punktu widzenia ekonomji gospodarczej dym z używanego powszechnie węgla kamiennego przedstawia jaskrawy przykład marnotrawstwa opału. Obliczonem jest, że blisko dwa i pół miliona tonn opału rocznie ulatnia się z kominów domów angielskich w powietrze pod postacią dymu i zanieczyszcza atmosferę.

Ciężka chmura sadzy i miazgi węglowego, unosząca się nad całą wyspą Wielko-Brytańską już od

wieku XIII-go, t. j. od dnia sprowadzenia poraż pierwszego na tę wyspę węgla kamiennego, stanowiła zawsze plagę mieszkańców tej wyspy i przyczyniła się niemało, jak twierdzą badacze tej sprawy, do rozpowszechnienia znanych skarg na klimat angielski oraz tak właściwej anglikom „podróżomanji”. Historia Anglii notuje wypadki sporadycznych prób walki z tą plagą nawet ze strony głów koronowanych. Edward I-szy, w przekonaniu (nie bez słuszności zapewne) iż dym węglowy przyprawił go o chorobę płucną, wydał podobno przed śmiercią dekret, „iżby każde domostwo, z którego dym się unosi, zostało zrównane z ziemią”. Dekret ten oczywiście pozostał niewykonany. Edward II zabronił sprowadzania do Anglii „węgla zamorskiego”. W „Dzienniku podróży po Anglii” John Evely’a z wieku XVII-go znajdujemy słowa namiętnego oburzenia na „ową piekielną, ponurą chmurę węgla, wiszącą bezustanku nad królewskiem a dostojnym miastem — Londynem”.

Dzisiaj, dzięki usiłowaniom Ligi do walki z dymem, chmura ta rozprasza się stopniowo i niebo błękitne zaczyna przeglądać nad wyspą brytyjską. Zasługa w tem przedewszystkiem kobiet, które pierwsze miały odwagę nie tylko rozpocząć, ale i konsekwentnie przeprowadzać walkę z tą kłęską. Istnieją stowarzyszenia kobiet-inżynierów i budowniczych, zajmujące się wyłącznie budowaniem i planowaniem „domów bezdymnych”. Doniosłość tej sprawy zrozumiały już i samorządy miejskie, wprowadzające w wielu miastach angielskich ustawy, mocą których wznoszenie nowych domów w obrębie miasta dokonywać się może jedynie z uwzględnieniem postulatów Ligi do walki z dymem. Takie ustawy weszły już w życie przedewszystkiem w wielkich centrach fabrycznych, jak Leeds, Manchester itd., gdzie powietrze jest już poprostu przesycone pyłem węglowym.

Oto jak wielkie pole do działania mają przed sobą inżynierki angielskie. Czy i u nas będzie kiedyś podobnie? Zdaje mi się, że możemy sobie na to pytanie odpowiedzieć twierdząco. Może jeszcze warunki naszego rozwoju ekonomicznego nie pozwolą nam w latach najbliższych doczekać się tego, aby Polska na polu elektryfikacji przemysłu i gospodarstwa domowego zbliżyła się do Zachodu. Niewątpliwie jednak musi to prędzej czy później nastąpić, — i nie sędzę, abym była zbyt wielką optymistką, twierdząc, iż właśnie na tem polu leży przyszłość pracy naszych kobiet-inżynierów. I my również mamy nasze wielkie centra fabryczne — naszą Łódź, zwaną nie bez słuszności polskim Manchesterem, — i nasze niebo zaczynają coraz częściej przesłaniać ciężkie chmury dymu węglowego, i nasz kraj wraz z dalszym rozwojem przemysłu fabrycznego będzie z czasem potrzebował tworzyć Komitety do walki z dymem. Inżynierki polskie będą wówczas miały przed sobą daleko łatwiejsze pole do pracy, czerpiąc bowiem z doświadczenia swych sióstr angielskich i francuskich, będą mogły rozwijać własną swą pomysłowość i przystosowywać te doświadczenia do potrzeb swego własnego kraju. Jestem głęboko przekonana, że całkowita lub częściowa elektryfikacja naszego gospodarstwa domowego i rolnego jest już tylko kwestją czasu.

Zofja Bogórska.



W SPRAWIE GOSPORARCZEGO WYKSZTAŁCENIA KOBIEC

Dużo się o tem u nas mówi, — a robi — jak na wszystkich polach — niestety, niewiele, a raczej robią wiele, czy chciałyby zrobić wiele nieliczne grupy, nieliczne organizacje. Szkół gospodarczych dla kobiet z inteligencji, najbardziej ich potrzebujących, bo nie zaprawionych, chociaż wadliwie, do prac codziennych, jak kobiety z ludu mamy mało. Jeszcze panny ze wsi mają Chyliczki, Kurnice, Pniewy itd., nauczycielki mają seminarjum w Snopkowie, ale panny miejskie oprócz szkoły specjalnie kucharskiej p. Marty Norkowskiej, zresztą wcale nie tak przepelnionej, jakby być powinna, w Warszawie przynajmniej — żadnej innej szkoły gospodarczej nie mają. Rada Naczelna Gospodarczego Wykształcenia Kobiet przy Stowarzyszeniu Ziemianek jest jedną z niewielu, jeśli nie jedyną instytucją, chcącą pchnąć na właściwe tory sprawę gospodarczego wykształcenia kobiet z inteligencji. Jest w stałym kontakcie z zakładami wychowawczymi zagranicą, posyła tam wciąż delegatki na zjazdy, swoje wychowanki do specjalnych zakładów. Sprawę tę całą wzięły do serca i w swoje młode, energiczne ręce — Młode Ziemianki. One też głównie zdawały sprawę z nabytych w specjalnych zakładach wiadomości. Niestety, porządek dnia był tak ułożony, że znużone dłuższymi przemówieniami słuchaczki, w dużej części opuściły salę przed ostatnim referatem, najciekawszym dla nas Polek, bo mówiącym o szkole, dającej wszechstronne wykształcenie gospodarcze, belgijskiej Wyższej Szkole Gospodarstwa Domowego w Laecken. Referat ten napisany przez absolwentkę tej szkoły p. Halinę Doria-Dernałowiczównę a przeczytany przez p. Wołczyńską dawał nietylko treściwy a jednak dokładny program zajęć szkoły, lecz malował też szybki rozrost szkolnictwa gospodarczego w Belgji, szkolnictwa, które wzięło swój początek z prywatnej inicjatywy jednej z filantroperek belgijskich, wzruszonej bezrobociem kobiet z racji zmniejszenia pracy w kopalniach węgla. Było to nie tak dawno, — a szkolnictwo to tak się rozszerzyło, że szkół, gospodarczych różnego typu liczy się tysiące.

Po wsiach są czteromiesięczne kursy gospodarstwa dla kobiet z ludu, w miastach, w szkołach powszechnych, gospodarstwo dawno jest wykładane teoretycznie i praktycznie po dwa razy w tygodniu. Gdzie niema odpowiedniego lokalu, — a w zniszczonej wojną Belgji to często się zdarza, tam dociera „école roulotte“, cztery wagoniki, mieszczące w sobie wszystko co trzeba do nauki kuchni, mlecza, porządków domowych, szycia itp.

Dwa z nich dają się połączyć i tworzą wtedy salę wykładową, mogącą zmieścić dwadzieścia uczennic. Stoły służące do zajęć praktycznych kuchennych i mlecarskich, po przewróceniu na drugą stronę stanowią deski do prasowania.

Przedział wykładowczy zawiera w sobie ukrytą maszynę do szycia, w dwóch innych mieści się czytelnia, specjalne laboratorium i mieszkanie dwóch towarzyszących ruchomej szkole nauczycielek. Przy tem muszą zaznaczyć, że młode ziemianki obiecują sobie najsolenniejszą taką samą szkołę przenośną stworzyć dla wsi polskiej. — Również dużo jest szkół średnich gospodarczych, zresztą gospodarstwo domowe jest jako oddzielny przedmiot, obowiązujący, wykładane w szkołach średnich. I nakoniec cztery szkoły wyższe, (z których dwie z wykładowym językiem flamandzkim). Z tych dwie, właśnie szkoła w Laecken

i druga w Varre — Notre — Dame, liczy pomiędzy swemi słuchaczkami Polki, nieliczne wprawdzie, gdyż cudzoziemki niechętnie są u nich przyjmowane, — lecz jednak te pionierki praktycznego nauczania gospodarstwa do nas przyniosą nowe metody i potrafią je zastosować do naszych innych warunków. Napewno innych, bo i natury nasze i charaktery są inne, od systematycznych i porządných, karnych i pracowitych, ale o dziwnie małym polocie umysłu i li tylko ku praktycznej stronie życia ciężących belgijek. Tę różnicę silnie podkreśla referentka — gdyż dzięki niej życie naszych elewek w szkołach belgijskich nie jest różami wysłane.

Niema może ostrych tarć, ale jest, ciągle, wzajemne niezrozumienie, co jest gorzej. Mówiła też prelegentka dużo o innych stowarzyszeniach kulturalnych, poradniach lekarskich dla niemowląt i dzieci, z których korzysta każdy mały obywatel kraju od urodzenia do lat trzech, o towarzystwie szerzącym pojęcia o estetyce w życiu codziennym po wsiach i noszącym nazwę: „Embellissement de la vie rurale“, — i o wielu pięknych rzeczach, o których my marzymy tylko. Drugi kolejno, co do zainteresowania jakie wzbudził, referat wygłosiła młodziutka panna Zabłocka, do niedawna elewka największego zakładu hodowli drobiu we Francji: „Elévation de Compiègne“. Prelegentka dała bardzo jasny obraz prowadzenia zakładu, początkowych jego niepowodzeń, spowodowanych zbyt dużymi inwestycjami zrobionymi bez należytej kalkulacji, — wymieniam to specjalnie, jako ostrzeżenie dla naszych przedsiębiorców lubiących „szeroki rozmach“, — następnie polepszenia interesów i dużej rentowności obecnej.

Elewki wszystkie prace najcięższe wykonywują same, służby płatnej zakład nie ma wcale. O rozmiarach zakładu da pojęcie to, że jednocześnie w trzech „couveuse“ (wylęgarkach) mieści się — w dwóch po 4.800, a w trzeciej 600 jaj, czyli jednocześnie się wylęga 10.200 kurcząt. Cały zakład jest wzorowany na takich zakładach amerykańskich, prowadzony przez specjalistkę amerykańską, nazwy przyrządów, sal, aparatów są używane angielskie. Do czego może doprowadzić racjonalna hodowla i dokładna selekcja drobiu, widzimy z tego, że u nas przeciętna kura znosi rocznie nie więcej niż 70 jaj, a w Compiègne te, co mniej niż 200 jaj znoszą, są sprzedawane natychmiast, a matka najpiękniejszego koguta reproduktora — pobiła wszystkie nasze rekordy, gdyż zniosła 306 jaj w ciągu roku. Najbardziej wszystkie słuchaczki były zainteresowane stanem szkolnictwa gospodarczego w Ameryce. Panna Morzkowska, która sama spędziła półtora roku na studiach gospodarczych w Nev Jorku, dała o niem masę detali, z których jednak dosyć trudno wybrać najbardziej wytyczne. Przedewszystkiem więc nauka gospodarstwa już się zaczyna nawet nie w przedszkolach, lecz w ogródkach dziecinnych, gdzie paroletnie dzieci już się bawią w gospodarzy i gości, jedne drugie częstują, jedne drugim usługują itp. W szkołach powszechnych nauka gospodarstwa domowego jest przedmiotem obowiązującym. Potem idą szkoły specjalne, seminarja gospodarcze dla nauczycielek mających zamiar poświęcić się nauczaniu tego fachu, z kursem czteroletnim. W uniwersytetach, które mają jakby dwa oddziały niższy i wyższy, w tych niższych oddziałach jest kurs specjalny gospodarstwa, też czteroletni „home economics“. Prawie każda kobieta, mająca zamiar poświęcić się innemu fachowi, zostać adwokatką, lekarką itp, kurs taki jednak przechodzi, bo

przejsć musi, — bo brak zupełny służby ją do tego zmusza, bo będzie musiała sama własnymi rękami wykonywać wszystkie gospodarcze prace, lepiej więc będzie jeśli zawczasu się ich nauczy, nauczy najnowszych, ułatwiających tę pracę metod.

Nakoniec w wyższych działach uniwersytetu są jeszcze roczne kursa wyższych studjów gospodarczych, przeznaczone dla tych co się z tego specjalizują, sobie to za fach obierają. Bo w Ameryce przedewszystkiem każdemu o fach chodzi, — nauki dla nauki jak u nas zupełnie nie rozumieją. Pod tym względem równie trudno się z nimi nam porozumieć, jak naszym studentkom z belgijkami. Zasadniczo różne mamy natury, psychiki, pojęcia, — oni są może praktyczniejsi, — my stanowczo bardziej interesujący i sympatyczniejsi.

Pani Elżbieta.

Z MOICH WĘDRÓWEK PO WARSZAWIE

U MISTRZA LESZCZYŃSKIEGO

Sklep p. L. Leszczyńskiego, Nowy Świat 64 jest miejscem rendez vous uroczych warszawianek. Najwytworniejsze i najbardziej podziwiane artystki scen stołecznych są stałymi klientkami pana Lucjana. To też niejedyni śmiertelnicy zazdrości mistrzowi sposobności podziwiania tylu pięknych nóżek zbliska. Bo miarę nóżki zdejmują się u p. Leszczyńskiego z aptekarską niemal, drobiazgową dokładnością. Wszystkie czytelniczki zrozumieją z jaką skwapliwością skorzystałam z zaproszenia p. Leszczyńskiego i z jaką zachłanną ciekawością oglądałam przesłaniczne pantofelki, nieraz tak fantazyjne i strojne, że doprawdy żał pomyśleć, że lśniące motyle cuda będą narażone na zetknięcie z brudną posadzką, lub na podeptanie przez niezgrabnych tancerzy.

Mistrz Leszczyński czyni mi honory swego lokalu z istic rycerską dwornością. Wobec niekłamane go zachwyty jaki okazałam na widok szczególnie pięknych pantofelków z czarnego jedwabiu haftowanego srebrnymi paillette'ami z obcasami z brylantów, p. Leszczyński ochrzcił je na pamiątkę mojej wizyty, mianem „Well“ z czego jestem bezgranicznie dumna. Inne bardzo piękne pantofelki z różowo srebrnej lamy inkrustowane brylantami nazywają się „Soir de Paris“. Jeszcze inne z czarnego brokatu w rócocowe bukietki kwiatów. Najnowszy fason półbucika z czarnego zamszu z lakierem zapięty na jeden guzik nazywa się „Méfisto“. Jestem pewna, że będzie się cieszył szczególnem powodzeniem u białych, demonicznych brunetek.

Nigdy nie udaje mi się odróżnić oryginału paryskiego od kopji, lub modelu własnego p. Leszczyńskiego. Aby dopełnić miary mego zachwyty mistrz informuje mnie, że eksportuje do Francji znacznie więcej obuwia dziennego i sportowego niż importuje pantofelków luksusowych. „To mi naprawdę imponuje, mówię z uznaniem, nasz towar nabywany i po-

szukiwany przez zagranicę, to przecie najlepsza, najcelowsza propaganda“. P. Leszczyński opowiedział mi jeszcze, że zamierza w początkach grudnia przenieść się do nowego, obszerniejszego lokalu Nowy-Świat 34.

Podziwiałam plany wspaniałych wnętrz, projektowanych w Paryżu. „Widzę, rzekłam na pożegnanie, że racjonalnie prowadzona firma, może się rozwijać i prosperować, nawet w dzisiejszych czasach“, rzekłam do p. Leszczyńskiego na pożegnanie. „Dwa się składają na to czynniki, odparł mistrz, sprężysta organizacja pracy i dobroć towaru“ — Pański jest poza konkurencją.

Well.



RÓŻNE GARNITURY Z KARTOFLI

Krokiety z kartofli. Kilo kartofli oczyścić z łupin, ugotować na parze, (są specjalne do tego rondelki z podwójnem dnem), lub w niedużej ilości wody, odlać, dać nieco przestygnąć, przepuścić przez maszynkę, dodać pół szklanki mąki, dwa jaja, osolić, dodać odrobinę białego pieprzu, wyrobić doskonale, porobić nieduże wałeczki długości i grubości palca, utarzać w mące. Smażyć na fryturze lub zmalcu i używać na garnitur do mięsa. Można też z nich zrobić sos rumiany lub grzybowy i podać na potrawę oddzielną.

Białoruska „tołkania“ z makiem. Sparzyć filiżankę maku wrzątkiem, dać postać noc całą. Utrzeć w donicy jak na strucle, dolać półtorej szklanki gorącej wody, wymieszać, aby się sformowało makowe mleko. Półtora kilo obranych kartofli zgotować w małej ilości wody, utłuc doskonale, dodać mak z wodą, doskonale wymieszać na ogniu, osolić do smaku. Wyłożyć na półmisek i położyć w dzień mięsny zasmażoną słoninką ze skwarkami, w dzień postny zrumienionem masłem. Ma przyjemny, odrębny smak, — lud to je z barszczem, według mnie najsmaczniejsze jako oddzielne danie na kolację.

Kartofle z papryką, Kartofle surowe obrać z łupin, pokrajać wzdłuż na paski grubości palca, wrzucić do wrzątku, sparzyć przez chwil parę, odlać na durszlak. Dużą łyżkę masła włożyć w rondel, nasypać na to grubo pokrajanej cebulki, osolić, przykryć, dusić na wolnym ogniu aż cebula i kartofle zmiękną. Mieszać często druzslakową łyżką od dna aby się nie przypaliło. Gdy nawpół zmięknie wysypać na koniec można papryki i zalać rzadką śmietaną. Dusić jeszcze minut dziesięć. Podawać do stołu w tem samem naczyniu. Podaje się je do sztuki mięsa lub wieprzowiny gotowanej. Mogą też służyć za oddzielne danie do kolacyj.

Pani Elżbieta.

KOSMETYKI DR. J. ŚWITALSKIEJ

Wysyłka za zaliczeniem i sprzedaż detaliczna
Krucza 31, m. 3.

„MÓJ KREM“ działa ochronnie przeciw zmarszczkom, wydelikaca i wygładza skórę
„MÓJ PUDER HIGJENICZNY“ w rozmaitych odcieniach.
„MYDŁO LILJOWE“ dla najwrażliwszych skór.
„KREM DO RĄK“ działa wybielająco.
„PIEGOLIN“ krem na piegi.

KORESPONDENCJE DZIAŁU PRAKTYCZNEGO

Pani H. W. w Jaszczowie. Azalja wymaga słońca nie wiele, wilgoci średniej temperatury od 4 do 10 stopni, ziemi z 6-ciu części ziemi wrzosowej, dwóch części ziemi torfowej, 1 1/2 części drobnego piasku i 1 1/2 części węgla drzewnego. Rozmnaża się z sadzonek — ale rozmnażanie w pokoju jest bardzo trudne — kwitnie od grudnia do maja — po okwitnieniu wymaga jasnego, ale chłodnego miejsca. Bardzo młode azalje przesadza się co roku, starsze co 5 — 4 lata, do nie zbyt wielkich naczyń. Strzec je trzeba specjalnie przed słońcem południowym.

Pani Irenie w Wrześni. 6 części wapna lasowanego i 6 części miążskiego piasku — 1 część ziemi infuzoryjnej rozrabia się ze szkłem wodnym na gęste ciasto i miesza z 12 częściami cementu portlandzkiego. Kitem tym smaruje się części złamałe i silnie ścisła ze sobą. Po 24 godzinach kit stwardnieje i jest odporniejszym niż sam materiał.

* * *

Na życzenie wielu Czytelniczek wydaliśmy książeczkę p. t. „Ozdoby choinkowe“, która podaje około trzydziestu ozdób wraz ze sposobem ich wykonania. Kto chce tanio i własnoręcznie ubrać w tym roku drzewko, niech zamówi powyższe wydawnictwo, nadsyłając do redakcji „Bluszczu“ 1 zł. 50 gr., t. j. cenę książeczki, która natychmiast zostanie wysłana pod wskazanym adresem.

Z DZIEDZINY KOSMETYKI.

Pani Julji. Rozszerzone pory na twarzy występują przy łojotoku, należy twarz myć rano i wieczorem gorącą wodą, spryskiwać zimną, na wieczór płynem resorcynowym wycierać, na rano użyć odrobinę „Mego Kremu“.

Płyn na twarz do wcierania na noc: Resorcini 2,0. Spir. vini 100. Ds. zewnętrznie.

Ażeby usunąć łupież u 10 miesięcznego dziecka należy przed umyciem głowy na 12 godzin przyłożyć maść siarkową. Rp. sulf. praecip 10,0. vasel 100. Maść zmyć rumiankiem. Mydło dla dziecka, o ile ma tak delikatną skórę polecam moje mydło liljowe, nadające się do najbardziej wrażliwych i delikatnych skór. Kurację powtórzyć przez kilka dni. Mydło jest drogie kosztuje 3 zł. 50 gr.

Zropaczonej. Na usunięcie włosów z twarzy polecam jedynie światłolecznictwo, wszystkie inne środki usuwają tylko czasowo. Niestety nic po za tem podać Pani nie można, gdyż dotychczas nie ma innego sposobu. Pastylki „Orarogen“ można używać bez szkody przez dłuższy okres czasu.

Madzi. Przy odmrożeniu charakteryzującym się zaczerwienieniem, swędzeniem i pieczeniem stosować należy moczenie w zimnej i gorącej wodzie na przemian, do wody dodawać łyżeczkę boraksu Eunice i smarować „Moim Kremem“ do rąk, Unikać ciasnego obuwia, ciasnych rękawiczek. Na nos odmrożony również okłady przemienne 10 zimnych i 10 gorących szybko zmieniając. Janin 5,0. Glicerini 15,0, na dzień „Mój Krem“ i „Mój Puder“. Światłolecznictwo przy odmrożeniu daje cudowne rezultaty, zwłaszcza przy zastarzałych i uporczywych przypadkach.

Myć włosy następującym płynem polecam: Amon. muriat. 10,0. Born 20,0. Viteli noi. Sapopix 100,0. Ag. destill 40,0. Ds. zewnętrznie do mycia włosów.

Otyłej. Polecam „Nujol“, idealny środek przeczyszczający, działa mechanicznie, żadnych ubocznych wpływów nie ma, nie drażni jelit, nie powoduje żadnych bólów. Po 12 godzinach bezbolesne wypróżnienie. Nadaje się do stałego użytku, jako środek nader higieniczny. Ilość — łyżeczka, lub łyżka zależnie od organizmu. Środek ten przy użyciu nie jest przykry. Zamawiać można Tow. Akc. Karpiński. *Dr. J. Świńska.*

OPIS SUKIEN I ROBÓT DO NR. 46

1042. Palto z kałanków szytych w pasy.
1043. Kostjum granatowy ze skórzanym paskiem.
1044. Palto sukienne jasno brązowe przybrane nurkami.
1045. Suknia wełniana koloru lie de vin, lamowana skórą. kołnierzyk piaskowy.
1046. Suknia granatowa z jasną kamizelką.
1047. Fartuszek z jasnego batystu dla dziewczynki sześciolatniej.
1048. Suknia z kasha ciemno zielonego, kokarda z aksamitki.
1049. Suknia koloru amande. krawat i pasek ciemniejsze.
1050. Palto sukienne koloru lie de vin przybrane lisami.
1051. Palto z kasha granatowego, przybrane futrem.
1052. Paltocik sukienki naszyty ciemniejszymi pliskami dla dziewczynki ośmiolatniej.
1053. Palto brązowe z szalowym kołnierzem futrzanym.
1054. Kostjum granatowy sukienki, przybrany futrem.
1055 - 1061. Modne fasony spódnic.
1056. Fartuszek dla dziewczynki dziewięcioletniej.
1057. Fartuszek płócienny dla dziewczynki sześciolatniej.
1058. Szlafrok z ciepłej flaneli gładkiej w pasy.
1059. Fartuszek dla dziewczynki siedmiolatniej.
1060. Sukienka wełniana dla dziewczynki dwunastoletniej.
1062. Dwa wzory na bieliznę.
1063. Wzór na środek poduszki, haft kolorowy.

UWAGA: Kroje modeli, umieszczonych w Dodatku Mód, dostarczamy po cenach następujących:

| | |
|--|----------|
| palto, lub suknia fantazyjna | zł. 3.50 |
| suknia zwyczajna | „ 2.50 |
| bluzka | „ 2.00 |
| formy dzieciinne. | „ 2.00 |
| bielizna | „ 1.50 |

Wzory, umieszczane w zmniejszeniu w dodatku mód i robót, mogą być dostarczone w wielkości naturalnej po cenach następujących:

obrus — makata — ekran — zł. 2,50,
poduszka — serwetka — zł. 1,50, drobne
desenie — gr. 75.

Przy zamawianiu wzorów należy koniecznie wymienić numer wzoru i rok, gdyż innych wzorów poza temi, które były umieszczane w „Bluszczu“, niewysyłamy.

Formy i wzory wysyłamy tylko po otrzymaniu przy zamówieniu należności w znaczkach pocztowych, lub przekazem.

* * *

Zawiadamiamy Nasze Czytelniczki, że jedna ze stałych współpracowniczek działu robót w „Bluszczu“ organizuje komplety haftów artystycznych. Informacje telefonicznie do 10-ej rano i od 3-ej do 4-ej pp. Telefon Nr. 273-34. Jednorazowe porady w sprawach robót.



PULSA
MYDLIK
San pierze
DEZYNFEKUJE
BIELI BEZ CHLORKU

PRZEMYSŁ
MYDLARSKI
i
PERFUMERYJNY
FRYDERYK PULS S. A.
WIERZBOWA 11.